

Kraina Ślepców

Herbert George Wells



calibre 0.9.43

HERBERT GEORGE WELLS

KRAINA ŚLEPCÓW

KRAINA ŚLEPCÓW

O trzy tysiące mil od Chimborazo, o sto mil od śniegów Cotopaxi, w najdzijszym łańcuchu podzwrotnikowych Andów znajduje się tajemnicza dolina — Kraina Ślepców, Niegdyś dolina owa dostępna była dla ludzi: po przewyciężeniu straszliwych grani i lodowej przełęczy, udawało się dotrzeć do odległych hal. Kilka rodzin metysów peruwiańskich ukryło się tam przed okrucieństwem i tyranią hiszpańskich władców. Wkrótce potem nastąpił tu przerażający wybuch Mindohamby, który na siedemnaście dni pogrążył Quiho w ciemnościach woda wrzała w strumieniach Yagnachi, a ryby pływały martwe, aż po Guayaquil, Na całym zboczu górskim, od strony oceanu Spokojnego waliły się skały, obrywały lawiny, burzyły się roztopy i nagłe powodzie, a cały łańcuch starej Arancai obsunął się i zawalił z hukiem tysiąca piorunów, odcinając Krainę Ślepców od świata.

Podczas tego straszliwego wstrząsu świata, jeden z pierwszych osadników tej doliny znajdował się właśnie po przeciwnej stronie łańcucha górskiego. Nie mogąc odnaleźć zawalonego przejścia, zmuszony zapomnieć o żonie, dzieciach, przyjaciółach i dobrach, które posiadał po tamtej stronie, rozpoczął nowe życie na nizinie. Po pewnym czasie rozchorował się i oślepl, i aby się od niego uwolnić, zesłano go do kopalni, gdzie umarł samotnie. Historia jego dała początek legendzie, która trwa na przestrzeni Kordyliarów i Andów do dnia dzisiejszego.

Opowiadał on, czemu porzucił bezpieczne schronienie i kraj, dokąd przybył dzieckiem w węzélku łachmanów, na grzbiecie łamy. — Dolina — mówił — posiadała wszystko, o czym można było zamarzyć — słodką wodę, pastwiska, klimat łagodny i glebę żyzną, brunatną, na której drzewa rodziły doskonałe owoce, Zbocze górskie, porośnięte lasem pinii, chroniło od

lawin, Z trzech innych stron otaczały dolinę wielkie zwały szarozielonych skał, pokrytych wiecznym śniegiem. Podczas roztopów, wody z lodowca spływały zdaleka innymi zboczami, a czasem tylko wielkie zwały lodowe obsuwały się po zboczu, chroniącym dolinę. Nie padał tam nigdy deszcz ani śnieg; tylko wartkie strumienie zasilają bujne, zielone pastwiska, nawadniając całą przestrzeń doliny. Osadnikom było tam świetnie. Bydło chowało się i mnożyło, a jedna tylko troska mąciła szczęście gospodarzy. Wystarczała, zresztą, aby popsuć wszystko. Naszła ich dziwna choroba, która przyprawiała wszystkie dzieci nowonarodzone, a nawet niektóre starsze o ślepotę. Właśnie dla zwalczania tej plagi, zdobycia jakiegoś antidotum czy czaru, naraził się ów przybyły na trudy i niebezpieczeństwa dalekiej drogi. W tych czasach ludzie nie wiedzieli nic o zarazkach chorobotwórczych ani o infekcjach. Zdawało się im, że to kalectwo wynikło z winy pierwszych imigrantów, którzy przybyli tu bez księdza i nie postawili ołtarza w dolinie. Pragnął więc wysłannik zdobyć ołtarz, piękny, wspaniały i nie nazbyt drogi; potrzebne mu były relikwie i inne wszechmocne symbole wiary: medaliki tajemnicze i modlitwy. W sakwach miał ze sobą sztabę rodzinnego srebra, którego pochodzenia nie chciał wyjaśnić; z uporem niedoświadczonego kłamcy twierdził, że tego metalu nie było w dolinie, Wszyscy mieszkańcy stopili swoje pieniądze i ozdoby — opowiadał — gdyż nie potrzebowali ich tam, w górach, i dali mu, ażeby zakupił święte środki przeciwko strasznej chorobie. Można sobie wyobrazić tego młodego górala, o zaćmionym już wzroku, ogorzałego, niespokojnego, przestępującego z nogi na nogę. Górala, co nie znał obyczajów nizinnych, co kręcąc czapkę w rękach, opowiadał bystrookiemu, uważnemu księdzu swoją historję. Można sobie wyobrazić, jak chcąc powrócić do kraju, zaopatrzonego w pobożne i niechybne lekarstwa, przyglądał się z niewypowiedzianą rozpaczą chaosowi spiętrzonych złomów w miejscu, w którym ongiś było ujście gardzieli skalnej. Nie wiem nic więcej o dalszych nieszczęściach przybysza, słyszałem tylko o jego nędznej śmierci. Biedny

zbląkanieć umarł z dala od swoich!

Gorączkowe opowiadania biedaka dały początek legendzie o rasie ślepych ludzi. Można tę baśń usłyszeć i dzisiaj.

Wśród zapomnianej i oderwanej od świata ludności straszliwa choroba szerzyła się nieustannie. Starym wzrok tak osłabł, że chodzili po omacku, młodzi, widzieli, ale mętnie, dzieci były zupełnie ślepe. Życie jednak w tym otoczonym śniegami basenie górskim było łatwe, bez cierni i głogów, bez jadowitych owadów i drapieżnych zwierząt, pośród lam łagodnych, sprowadzonych tu ongiś łożyskami potoków przez pierwszych osadników. Ci, którzy widzieli, ślepli tak powoli, że ledwo sobie zdawali sprawę z tego nieszczęścia. Służyli oni za przewodników pozbawionym wzroku dzieciom, które w ten sposób poznawały doskonale całą dolinę. Wreszcie dar widzenia zatracił się zupełnie. Ludzie mieli dość czasu, aby przywyknąć do obchodzenia się bez oczu z ogniem, który podtrzymywali starannie w piecach z kamienia. Byli to prości ludzie, analfabeci, ze śladami cywilizacji hiszpańskiej, przechowujący tradycje artystyczne i zapomnianą filozofię dawnego Peru. Pokolenia przeminęły za pokoleniami. Zapomniały wielu rzeczy; wiele nowych wynalazły.

Wspomnienie o wielkim świecie, z którego przybyły, stało się niejasne, niemal mityczne. We wszystkich pracach, nie wymagających wzroku, byli ci ludzie, wytrwali i zdolni, a przypadek, rządzący z dziedziczością, sprawił, że znalazł się wśród nich ktoś, obdarzony oryginalnym umysłem i darem wymowy i perswazji, po nim przyszedł inny. Ci dwaj przeminęli, ale wpływ ich pozostał. Małe społeczeństwo wzrastało w liczbę i w inteligencję i wreszcie poczęło rozwiązywać nasuwające się zagadnienia socjalne i ekonomiczne. Pokolenia przemijały za pokoleniami. I nadszedł czas, kiedy urodziło się dziecko z piętnastego pokolenia, wywodzącego się od owego przodka, który wywędrował z doliny ze sztabą srebrną w poszukiwaniu Boskiej pomocy — i więcej nie wrócił. W tym to czasie do małej społeczności

przybył człowiek z dalekiego świata. I to będzie właśnie historia owego człowieka.

Był to góral z okolic Quihoj w życiu swoim widział kawał świata, dotarł aż do morza, czytywał książki i słynął z umysłu przenikliwego i wielkiej przedsiębiorczości. Wycieczka Anglików, przybyła pod równik, aby zbadać niektóre szczyty Andów, zabrała go ze sobą w charakterze przewodnika, zamiast trzech Szwajcarów, którzy zachorowali po drodze. Poczęli wdrapywać się razem na góry, tu i tam, aż wreszcie postanowili wejść na szczyt Parascohopetlu — Matterhornu andyjskiego. W czasie tej właśnie wycieczki przewodnik dostał się do innego świata, Historię wypadku opisywano ze dwanaście razy. Relacja Pointera okazała się najlepszą. Opowiada on, jak turyści, po przewyciężeniu niebezpiecznej drogi, stanęli na krawędzi ostatniej, najgłębszej przepaści, jak zbudowali na noc schronisko ze śniegu w kolebie górskiej i wreszcie opisuje tę tragiczną chwilę, kiedy nagle spostrzegli, że Nunez znikł. Poczęli nawoływać — ni« było odpowiedzi; nawoływali tak i gwizdali przez resztę nocy, która minęła bezsennie.

O świcie trafili na ślady. Zrozumieli wreszcie czemu Nunez nie odpowiadał na ich wołania. Okazało się, że ześlizgnąwszy się po wschodnim, niezbadanym dotychczas, zboczu góry, poleciał w dół po śnieżnym upłazie, gdzie wyłobił ciałem swym głęboką bruzdę. Upadek jego wywołał lawinę. Ślad Nuneza gubił się na krawędzi straszliwej przepaści, a dalej nic już nie było widać. Daleko, daleko w dole, majaczyły we mgle, jak gdyby drzew zarysy, w zamkniętej, wąskiej dolinie. Ale turyści nie zdawali sobie sprawy, że ,to jest właśnie zapomniana przez świat Kraina Ślepców, nie wyróżniająca się zresztą z oddali niczym szczególnym. Przygnębieni nieszczęściem, wyrzekli się tego popołudnia dalszego zdobywania szczytów i Pointer musiał zejść z powrotem, rezygnując z dalszych prób. Do dziś dnia Parascohopetl wznosi dumnie swój niezwyciężony szczyt, a schronisko Pointera, nie odwiedzane przez nikogo, zawałiło się w śnieg.

Góral, który spadł do przepaści, uszedł cało.

Obsunął się po zboczu z wysokości tysiąca stóp i otoczony chmurą śniegu, leciał po stromej pochyłości z upłazu na upłaz. Toczył się, ogłuszony i bez czucia, ale z całymimi kośćmi; dostał się wreszcie na płaszczyznę i zatrzymał tu, otoczony zwałami śniegu, który uratował mu życie. Kiedy odzyskał przytomność i zdał sobie sprawę z sytuacji, począł wygrzebywać się ze śniegu i wreszcie zobaczył gwiazdy. Przez pewien czas leżał na brzuchu, zastanawiając się, gdzie jest i co się z nim stało. Zbadał całość swoich członków i stwierdził, że postradał większość guzików, a kurtka owinęła mu się dokoła głowy. Nóż wypadł z kieszeni, a kapelusz zaginął bez wieści, choć wiązał go stale pod brodą. Przypomniał sobie ostatnią chwilę przed upadkiem: szukał kamieni dla podparcia schroniska. Zgubił też gdzieś swój czekan.

Zrozumiał wreszcie, że spadł z góry, i podnosząc głowę, przyjrzał się przestrzeni, którą przeleciał — wydawała się jeszcze bardziej olbrzymią w bladym świetle księżyca. Z rozszerzonymi oczyma badał straszliwe, białawe urwisko, wyłaniające z ciemności swój przygniatający zwał. Tajemnicze, fantastyczne piękno tej skały ścisnęło mu serce; nagle wstrząsnął nim paroksyzm śmiechu i łkania...

Po dłuższym upływie czasu zdał sobie sprawę, że leży na krawędzi śniegowego pola, W dole, poniżej łagodnego zbocza, oświetlonego jasno księżycem, zauważył ciemne, rozsiane plamy, jak gdyby hale. Powstał z wysiłkiem, opanował zbolełe członki, zsunął się ostrożnie ze śniegu i podążył w kierunku łąk. Tam zwałił się do snu pod skałą, osuszył butelkę, którą znalazł w kieszeni, i zasnął natychmiast.

Obudził go śpiew ptaków.

Usiadł i począł się rozglądać. Był na niewielkiej wyżynie, stanowiącej dno rozległej przepaści, ograniczonej złomami, po których stoczył się wczoraj wraz z lawiną. Przed nim

wznosił się aż do nieba mur skalny. Gardziel górską ciągnęła się między tymi ścianami z zachodu na wschód; w tej chwili pełna była blasku wschodzącego słońca, które zalewało światłem wysoką górę, zamykającą ujście doliny. Za Nunezem widniało urwisko i przepaść. Jedna z rozpadlin tworzyła komin, o ścianach, ociekających roztopionym śniegiem, którą z wielką trudnością można się było spuścić w dół. Zejście okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał; wkrótce stanął na niższej, równie pustej platformie skalnej, zjechał w dół po piargach i stanął na zboczu, porośniętym drzewami. Zastanowiwszy się chwilę, poszedł w kierunku najbardziej wzniesionej części doliny, gdyż z daleka dojrzał coś na kształt kamiennych siedzib ludzkich niezwykłego kształtu.

Posuwał się naprzód niezmiernie powoli; wkrótce słońce przestało oświetlać dolinę, ptaki ucichły, powietrze ochłodziło i uczyniła się ciemność zupełna. Odległa dolina i domostwa ludzkie stały się przez to jeszcze bardziej ponętne. Nunez znajdował się wciąż na pochyłości, ale pomiędzy skałami zauważył — był to człowiek spostrzegawczy — nieznanego mu dotychczas rodzaju paproci, wychylającej z rozpadlin liście, na kształt chciwych, zielonych rąk. Wyrwał kilka łodyg, pożał — i to go wzmocniło.

Około południa spuścił się nareszcie w dolinę, zalaną słońcem. Był wyczerpany i spragniony; siadł więc w cieniu skały, napełnił swą manierkę wodą ze strumienia i wypił ją do dna. Odpoczywał przez czas dłuższy, zanim ruszył w drogę ku domostwom.

Siedziby te wydawały mu się bardzo dziwne, a kiedy się baczniej przyjrzał, to spostrzegł, że cała dolina wygląda szczególnie i niezwykle. Powierzchnia jej była pokryta wspaniałymi, bujnymi łąkami o przepięknych kwiatach. Łąki te, umiejętnie nawodnione, świadczyły o systematycznej kulturze rolnej — Dookoła doliny biegła ściana, u której stóp wyłobiony był kanał, a z niego wypływały odnogi, zasilające wodą łąki. Wyżej, na zboczach, stada lam pasły się spokojnie. W rzadkich odstępach widniały daszki na palach, najwidoczniej służące za

szałas dla bydła. Wszystkie strumienie wpadały do szerokiego kanału, płynącego środkiem doliny. Ograniczony był z każdego brzegu cembrowaniem metrowej wysokości. To wszystko nadawało osadzie charakter dziwnie miejski, tym bardziej, że przecinało ją mnóstwo dróg, wyłożonych czarnymi i białymi kamieniami. Drogi te, obramowane szczególnym chodnikiem, biegły w równych odstępach i krzyżowały się regularnie. Układ domów nie przypominał w niczym nieporządnym, nagromadzonym beładnie chałup w wioskach andyjskich. Stały one nieprzerwanym szeregiem z obu stron głównej ulicy, zdumiewającej czystości. Na tle kolorowych fasad widniały tu i ówdzie drzwi, ale ani jedno okno nie przerywało monotonii ścian. Fronty domów, barwione z dziwną nieregularnością, pociągnięte były rodzajem gipsu, czasem czarnego, czasem brunatnego, jak się da, czasem też widniały na nich plamy ceglaste albo szarawe. I od razu na widok tych dziwacznych ozdób przyszło góralowi na myśl słowo: „ślepi”,

„Zuch, który to wszystko uczynił — pomyślał — musiał być ślepy, jak kret!

Szedł po ostatniej pochyłości i zatrzymał się w niewielkim oddaleniu od ściany i kanału, okrążającego dolinę, tam, gdzie nadmiar wody spadał w niewielką, drżącą siklawę, spływającą później do ujścia gardzieli skalnej. Spostrzegł stamtąd kilka osób, spoczywających na sianie, rozrzuconym po łąkach, a bliżej wsi — leżące na trawie dzieci. Najbliżej miejsca, gdzie znajdował się Nunez, trzech mężczyzn z wiadrami, uczeponymi u jarzma, które nieśli na ramionach, zmierzało drogą, prowadzącą od muru w kierunku grupy tubylców. Ludzie ci byli odziani w sukno z sierści lam, buty i pasy mieli ze skóry, a czapki — opatrzone nausznikami. Szli gęsiego, powoli, ziewając, jak gdyby byli niewyspani. Wygląd ich budził zaufanie i szacunek, znać było, że są zamożni, więc, po chwili wahania, Nunez stanął na skale, w miejscu najbardziej widocznym, i krzyknął głośno, aż echo odpowiedziało z krańców doliny.

Trzej mężczyźni zatrzymali się i poczęli poruszać głowami, jak gdyby rozglądając się dookoła. Zwracali twarze w różne strony, a Nunez machał rękami, co sił. Oni jednak zdawali się nie dostrzegać jego gestów i po chwili, zwróciwszy się w przeciwnym kierunku, wykrzyknęli tylko coś w odpowiedzi. Nunez począł wrzeszczeć znowu i widząc, że jego gesty nie odnoszą skutku, po raz drugi pomyślał słowo: „ślepi”.

...Ci idioci chyba są ślepi — powiedział sobie.

Kiedy wreszcie po wszystkich tych krzykach i gniewie Nunez przeszedł przez kanał po mostku, prowadzącym do furty w murze, i podszedł do trzech tubylców, skonstatował, że istotnie są ślepi. Wtedy zyskał pewność, że znajduje się w Krainie Ślepców, o której głosiła legenda. To przekonanie wywołało w nim radosne poczucie niezwyklej i godnej pozazdroszczenia przygody.

Trzej ludzie, stojąc przy sobie, nie patrzyli w stronę, skąd nadchodził, ale natężali słuch i widać było, że zdawali sobie sprawę z nieznanego im odgłosu kroków. Przysuwali się do siebie gestem przestachu, a Nunez obserwował ich zapadnięte powieki, pod które mi, zapewne, już zanikły gałki oczne. Twarze ślepców wyrażały niepokój.

— Człowiek — rzekł jeden z nich, w języku, który słabo przypominał hiszpański. — To jest człowiek... człowiek albo duch, zstępujący ze skał...

Nunez podszedł do nich ufny krokiem młodości, wstępującej w życie. Przypomniały mu się wszystkie stare historie o Krainie Ślepców, a w myślach jego zadźwięczało na kształt natrętnego refrenu przysłowie: „Pośród ślepców — jednoocy są królami”.

Uklonił się bardzo uprzejmie... Począł mówić, patrząc na nich bystro.

— Skąd on przyszedł, bracie Pedro? — zapytał któryś,

— Z góry, ze skał,

— Przychodzę z tamtej strony gór — powiedział Nunez — z kraju, gdzie ludzie widzą. Z

okolic Bogoty, którą zamieszkuje sto tysięcy ludzi; z miasta, którego nie można ogarnąć wzrokiem.

— Wzrokiem? — zamruczał Pedro. — Wzrokiem?

— On przyszedł ze skał — powiedział drugi. Nunez przyglądał się dziwnemu krojowi ich ubrań.

Ślepcy wyciągnęli nagłe ręce i poczęli gwałtownie wymachiwać niemi przed przybyszem. Nunez cofnął się przed tymi zachłannymi palcami.

— Chodź tutaj — rozkazał trzeci ślepiec, podchodząc blisko.

Wszyscy trzej pochwycili Nuneza i poczęli go macać, nie mówiąc słowa.

— Ostrożnie! — zawołał Nunez, kiedy mu wpakowali palec do oka.

Niewątpliwie, ten organ z ruchomymi powiekami wydał im się czymś niepojętym. I znów poczęli go dotykać biegającymi palcami,

— Dziwne stworzenie, Correa! — zdecydował ten, który na imię miał Pedro. — Czujesz, jak jego włosy są twarde. Jak sierść lamy.

— Jest szorstki, jak kamienie, z których pochodzi — odpowiedział Correa, badając niegolony podbródek Nuneza ręką miękką i trochę wilgotną. — Być może, kiedyś się wysubtelni.

Nunez chciał się wyswobodzić z ich rąk, ale przytrzymali go mocniej.

— Ostrożnie! — powiedział znowu.

— Mówi — zauważył trzeci. — To jest na pewno człowiek.

— Ach! — mruknął Pedro, dotykając szorstkiej kurtki Nuneza, — Więc przyszedłeś do świata?

— Przyszedłem ze świata. Zza gór Hodowców, byłem na szczycie, w pół drogi do słońca.

Przychodzę z szerokiego świata, z którego jest jeszcze dwanaście dni drogi do morza.

Zdawali się go nie słuchać.

— Ojcowie nam mówili, że ludzi tworzy siła — przyrody — powiedział Correa — powstałi z ciepła, wilgoci i rozkładu — gnicia...

— Zaprowadzimy go do starszyny — poradził Pedro.

— Krzyczcie najpierw — zauważył Correa — żeby dzieci się nie wystraszyły. To jest niezwykły wypadek.

Krzyknęli też parę razy, po czym Pedro poszedł pierwszy w kierunku domów, prowadząc Nuneza za rękę.

Góral usunął dłoń swoją:

— Ależ ja widzę — powiedział.

— Widzę? — zapytał Correa.

— No tak, widzę — potwierdził Nunez, obracając się doń i potykając o wiadro Pedra,

— Jego umysły są niedoskonałe — rzekł trzeci ślepiec. — Potyka się i mówi niezrozumiałe słowa. Weź go za rękę.

— Jak chcecie — zgodził się Nunez ze śmiechem.

Było jasne, że ci ludzie nie rozumieli po prostu, co to jest wzrok.

Nie szkodzi, kiedy czas przejdzie już on im objaśni.

Posłyszał ze wszystkich stron nawoływania i ludność poczęła się zbierać gromadą na głównej ulicy wioski.

Nerwy i cierpliwość Nuneza zostały wystawione na cięższą próbę, niż się tego spodziewał podczas tego pierwszego spotkania z ludnością Krainy Ślepców, Osada okazywała się coraz większą, w miarę, jak się do niej podchodziło, a dziwne ozdoby na murach — coraz bardziej cudaczne. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci — Nunez zauważył z przyjemnością, że kobiety mają miłe twarze, pomimo zamkniętych powiek i pustych orbit — otoczył go, wachając,

dotykając miękkimi, czułymi dłońmi, przysłuchując się każdemu jego słowu, Część dziewcząt jednak i dzieci trzymała się na uboczu; rzeczywiście, jego głos wydawał się gruby i chropawy w porównaniu z ich mową, łagodną i śpiewną. Dotykano się go ze wszystkich stron. Trzej przewodnicy trzymali się blisko, pełni poczucia własności w stosunku do przybysza, i powtarzali:

— Dziki człowiek ze skał...

— Z Bogoty — powiedział Nunez — Bogota! Z drugiej strony gór,

— Dziki człowiek używa dzikich słów — wyjaśnił Pedro. — Słyszycie? Bogota! Jego umysł jest bardzo prymitywny, To są rudymenty mowy ludzkiej.

Jakiś chłopczyk uszczypnął rękę Nuneza.

— Bogota! — zawołał ze śmiechem,

— Aj! Bogota — to jest miasto w porównaniu z waszą osadą. Przychodzę z wielkiego świata, gdzie ludzie mają oczy i widzą,

— Bogota mu na imię — odrzekli.

— Potknął się! — zawołał Correa — potknął się dwa razy, nimeśmy tutaj przyszli!

— Zaprowadźcie go przed starszyznę!

Wepchnęli Nuneza nagle w drzwi, prowadzące do izby, ciemnej, jak piwnica, choć w głębi płonął słaby ogień. Cała gromada weszła za nim, zasłaniając zupełnie światło dzienne. Góral, popychany przez wszystkich, przewrócił się, jak długi, potknąwszy się o nogi jakiegoś siedzącego człowieka. Jego ramię przy tym uderzyło w twarz innego; poczuł stłoczoną masę twarzy, usłyszał krzyk przestachu i przez chwilę szarpał się wśród setek rąk, które go zewsząd pochwyciły. Walka była nierówna. Nunez zdał sobie sprawę z sytuacji i stanął spokojnie.

— Upadłem — objaśnił. — Nic nie widzę w tych egipskich ciemnościach.

Uczyniła się cisza, jakby ci wszyscy, niewidzialni w mroku ludzie chcieli zrozumieć sens tych słów. Potem rozległ się głos Correa:

— To jest istota niedokształcona. Chwieje się, chodząc, a mówiąc, używa słów niezrozumiałych.

Inni też poczęli o nim mówić coś, co słyszał i rozumiał niedokładnie.

— Czy mogę usiąść? — zapytał po chwili, — Nie będę więcej z wami walczył.

Naradzili się i pozwolili mu powstać. Głos jakiegoś starca począł zadawać pytania i Nunez objaśniał starszyźnie Kraju Ślepców z jakiego to świata przyszedł: mówił o niebie, górach, darze wzroku i innych cudach. Ale oni nie rozumieli i nie wierzyli niczemu — rzecz ta przechodziła jego pojęcie. Nie rozumieli także większości słów, których używał. Od czternastu pokoleń lud ten był ślepy i odcięty od widzialnego świata; nazwy rzeczy widzialnych zaginęły lub uległy przemianom; wiadomości o szerokim świecie przeszły do rzędu dziecinnych bajeczek; mieszkańcy doliny przestali się zajmować wszystkim, co leżało poza granicą muru, otaczającego dolinę. Genialni ślepcy narodzili się wśród nich; odrzucili strzępy dawnych wierzeń i tradycji, datujących się z czasów, kiedy ich przodkowie jeszcze widzieli; uważali je, jako bezwartościowe fantazje i zastąpili nowym, zdrowszym poglądem na rzeczy. Wraz z utratą wzroku zanikła w ślepcach część ich wyobraźni; natomiast wytworzyli sobie cały zastęp nowych pojęć, związanych ze zmysłami słuchu i dotyku.

Zwolna Nunez zdał sobie sprawę, że jego pochodzenie, dar wzroku, znajomość cudów świata — nie zjedną mu wcale szczególnego uznania. A kiedy potraktowano jego nieudaną próbę wytłumaczenia czym jest wzrok, jako mętną wersję niedokształconej istoty ludzkiej, usiłującej nieudolnie opisać swoje indywidualne czucia — Nunez zrezygnował, trochę zmieszany, i począł z kolei słuchać wykładu ich nauki. Najstarszy ze ślepców zapoznał go z poglądami na życie, religię i filozofię. Wyjaśnił mu — mając na myśli Krainę Ślepców — że

świat był ongiś pustym zagłębieniem w skałach, że zjawiły się w nim początkowo przedmioty nieożywione, którym brakło umysłu dotyku, a potem — lamy i inne stworzenia, które posiadają ledwo zaczątki inteligencji, wreszcie — ludzie, a w końcu — anioły, które się poznaje po śpiewie i szeleście skrzydeł, gdyż nie dają się dotknąć nikomu. Intrygowało to Nuneza, póki nie pomyślał o ptakach.

Starzec opowiedział przybyszowi, że czas dzieli się na dwie pory: ciepło i zimno — co równało się u ślepców dniowi i nocy — i że jest dobrze spać podczas ciepła, a pracować w zimnie, tak, że obecnie, gdyby nie jego przybycie, cała ludność byłaby pogrążona we śnie. Wyraził wreszcie przekonanie, że Nunez został specjalnie stworzony po to, ażeby osiąść mądrość, nagromadzoną przez przodków tutejszych mieszkańców. Nie powinien się więc zniechęcać z powodu swojej niższości umysłowej i chwiejnego kroku, lecz starać się kształcić i poznawać miejscowe obyczaje, Zebrany tłum niejasnym pomrukiem wyraził słowom tym uznanie. Na zakończenie, starzec zaznaczył, że pora jest spóźniona — bo ślepi nazywają dzień nocą — i że należy iść spać. Zapytał jeszcze Nuneza, czy potrafi spać, na co Nunez dał twierdzącą odpowiedź, ale wyraził chęć zjedzenia czegoś przed snem.

Przyniesiono mu pożywienie: mleko lamy w kubku i czerstwy, solony chleb; zaprowadzono go w ustronne miejsce, gdzieby odgłosy jego mlaskania nie dobiegały uszu ślepców i gdzieby mógł spać spokojnie, póki chłód, zstępujący z gór, nie obudzi mieszkańców do pracy. Ale Nunez nie mógł spać.

Usiadł na miejscu, gdzie go ślepcy pozostawili, i odpoczywając, przebiegł myślą nieprzewidziane przygody, których tu doznał.

Co pewien czas wybuchał śmiechem, rozbawiony lub zagniewany.

...Niedokształcony umysł! — powtarzał, — Niewysubtelnione umysły! Te kaleki nie zdają sobie sprawy, że obrażają swego władcę i pana, zesłanego im z nieba. Widzę, że będę musiał

przyprować ich do rozumu. Zastanówmy się... zastanówmy się...

Rozmyślał jeszcze, kiedy słońce zaszło,

Nunez był wrażliwy na piękno, więc przyglądał się z zachwytem grze światła na polach śnieżnych i lodowcach, otaczających dolinę — najpiękniejszy to widok na świecie. Oczy jego przeniosły się z tych niedostępnych, wspaniałych szczytów na osadę ślepców i nawodnione pola, gdzie zstępował mrok; i nagle poczuł gwałtowne wzruszenie. Począł dziękować Bogu z całego serca za to, że zachował mu wzrok.

Usłyszał nagle głos, nawołujący go od strony wioski:

— Hop, hop! Bogota! Chodź tutaj!

Powstał, uśmiechając się do siebie. Chciał pokazać wreszcie tym ludziom, jakie przysługi oddaje wzrok. Będą go szukali, ale nie znajdą.

— Czy nie masz zamiaru ruszyć się z miejsca, Bogota? — zapytał głos.

Nunez zaśmiał się skrycie i zszedł z drogi na czubkach palców.

— Nie depcz trawy, Bogota! Nie wolno! Nunez nie słyszał szmeru własnych kroków.

Zatrzymał się, zdumiony.

Właściciel głosu biegł do niego po dziwacznym bruku,

Nunez wstał znowu na chodnik.

— Jestem — powiedział.

— Dlaczegoś nie przyszedł, kiedym cię wołał? — zapytał ślepy, — Czy trzeba cię prowadzić, jak dziecko? Czy nie słyszysz chodnika, kiedy chodzisz?

Nunez roześmiał się.

— Ależ ja go widzę — odpowiedział,

— Niema takiego słowa: „widzę” — rzekł ślepy po namyśle. — Daj spokój temu głupstwu i chodź za mną, tam, gdzie będziesz słyszał moje kroki.

Nunez poszedł za nim, trochę zagniewany. ...Mój czas nadejdzie — pomyślał,

— Nauczysz się wszystkiego — zapewnił go ślepiec — trzeba się wielu rzeczy nauczyć na świecie,

— Czy nikt wam dotychczas nie powiedział, że w kraju ślepych — jednoocy są królami?

— Co to znaczy: „ślepych”? — zapytał tubylec niedbałe, przez ramię.

Minęły cztery dni, a piątego, pseudo król ślepców zachowywał ciągle incognito i żył pośród swoich poddanych, jako niezręczny i niepotrzebny przybysz.

Ogłoszenie własnego panowania okazało się dla Nuneza znacznie trudniejszym, niż przypuszczał, wciąż więc obmyślając zamach stanu, robił, co mu kazano, i uczył się zwyczajów i obyczajów Krainy Ślepców. Uważał, że chodzenie i praca po nocy jest pomysłem ogromnie niewygodnym i zdecydował, że przede wszystkim ten właśnie zwyczaj zniesie.

Ślepcy wiedli życie proste, pracowite, pełne cnót i bardzo szczęśliwe. Pracowali, ale nie pod przymusem; mieli dość pożywienia i ubrania, jak na swoje potrzeby; ustanowili dni i okresy dla wypoczynku; wiele śpiewali i grali; kochali się i mieli dzieci.

Z niepojętą zręcznością i precyzją poruszali się w swoim zorganizowanym świecie.

Wszystko tam było przystosowane do ich potrzeb: drogi przecinały się zawsze pod tym samym kątem i różniły się między sobą specjalnymi rowkami w chodnikach; wszystkie nierówności i przeszkody na polach i łąkach zostały od dawna usunięte. Obyczaje i sposób życia mieszkańców ułożyły się w ścisłym związku z ich potrzebami. Zmysły ich wydoskonalily się niezwykle, tak, że słyszeli z odległości dwunastu kroków najmniejszy ruch innego człowieka — słyszeli nawet bicie jego serca. Intonacja głosu zastąpiła mimikę, a dotyk — gesty; obchodzili się z motyką, łopatą czy grabiami, jak najbardziej doświadczeni ogrodnicy. Powonienie mieli niezwykle subtelne; odróżniali różnice indywidualnych

zapachów z łatwością psa. Hodowali stada lam, które pasły się między skałami i podchodziły aż do muru, otaczającego osadę, gdzie je karmiono i zamykano w szałasach.

Chcąc wykorzystać przewagę swego wzroku, Nunez zorientował się dopiero, jak dalece pewne i niepodlegające wahaniu są ruchy tych ślepców.

Zbuntował się jednak, gdy spostrzegł, że perswazje jego nie odnoszą skutku.

Próbował początkowo opowiadać im o darze wzroku.

— Słuchajcie, ludzie! — opowiadał, — Są we mnie pewne rzeczy, których wy nie możecie zrozumieć.

Zdarzało się czasem, że ślepcy zwracali uwagę na jego słowa: siedząc ze spuszczonej głowami, kierowali bacznie uszy w jego stronę, a on starał się, jak mógł, objaśnić, co to jest wzrok. Szczególnie usiłował przekonać pewną młodą dziewczynę, której powieki były mniej czerwone i zapadnięte, niż u innych, do tego stopnia, że czasem zdawała się tylko kryć spojrzenie, Nunez opowiadał o pięknie, do którego zbliża wzrok, o widoku gór, nieba i wschodzącego słońca, a słuchacze uśmiechali się, najpierw niedowierzająco, a potem z niechęcią. Odpowiadali, że niema w ogóle żadnych gór, że za skałami, gdzie pasą się lamy, kończy się świat; że tam właśnie opierają się krawędzie wklęsłego dachu wszechświata, z którego opada deszcz i lawiny; a kiedy Nunez twierdził gorąco, że wszechświat nie posiada ani granic, ani dachu, słuchacze oznajmiali, że poglądy jego są bezbożne. Niebo, chmury, gwiazdy, które im opisywał, wydawały im się okropną pustką, straszliwą nicością w miejscu, gdzie powinno być gładkie sklepienie — był to bowiem jeden z ich artykułów wiary, że wklęsły sufit wszechświata jest gładki i przedziwnie słodki w dotknięciu. Nunez zrozumiał, że słowa jego ich gorszą, i zaprzestał dyskusji. Usiłował już im udowodnić choćby praktyczną wartość wzroku. Pewnego ranka ujrzał Pedra, nadbiegającego ze wsi drogą siedemnastą, w nazbyt wielkiej jeszcze odległości, aby mógł być rozpoznany słuchem.

— Za parę chwil Pedro będzie tutaj — przepowiedział Nunez.

Jeden ze starców oznajmił, że Pedro nie ma nic do roboty na siedemnastej drodze i rzeczywiście, jakby chcąc potwierdzić te słowa, Pedro skręcił w lewo i pobiegł na ukos drogą dziesiątą, i skierował się w stronę granicznego muru. Śmiano się z Nuneza, kiedy się okazało, że Pedro nie nadchodzi. Tegoż dnia Nunez zapytał Pedra, jak to było, ażeby wyjaśnić sprawę. Ślepiec wyparł się i zaprzeczył wszystkiemu — i od tego czasu stosunek jego do przybysza stał się wrogi.

Wreszcie Nunez namówił ślepców, aby mu pozwolili wraz z jakimś towarzyszem stanąć na jednej z wyższych hal, w pobliżu granicznego muru, a on im opowie, co się będzie działo we wsi. Widział stamtąd ludzi, przychodzących do wsi i odchodzących, ale to, co dla ślepców miało istotne znaczenie życiowe, działo się wewnątrz domów, pozbawionych okien — czego on, oczywiście, nie mógł zobaczyć. Dopiero, kiedy nie udała się ta ostatnia próba, kiedy ślepcy zaczęli szydzić z niego, Nunez zdecydował się użyć siły. Postanowił uzbroić się w łopatę, palnąc nią niespodziewanie kogo się zdarzy i w ten sposób namacalnie przekonać ślepców o swojej przewadze. Pochwylił już nawet narzędzie, ale w tejże chwili poczuł, że nie zdobędzie się nigdy na uderzenie z zimną krwią ślepego człowieka,

Zawahał się i spostrzegł nagle, że obecni zdawali sobie sprawę z jego gestu.

Zaniepokojeni, z pochylonymi głowami, natężali słuch w jego kierunku, trzymając się w pogotowiu,

— Połóż tą łopatę — powiedział jeden ze starców, a Nunez poczuł bezradne przerażenie,

O mało nie posłuchał.

Opamiętał się, popchnął jednego ze ślepców na ściany pobliskiego domu, a sam uciekał z wioski, co sił.

Pobiegł przez łąki, pozostawiając za sobą bruzdę zdeptanej trawy, ale po pewnym czasie

usiadł na skraju drogi. Był podniecony, jak człowiek, gotujący się do walki, może tylko z domieszką wahania. Począł rozumieć, że trudno jest walczyć z istotami, o tak odrębnej umysłowości. Spostrzegł z daleka grupę ludzi, zdążających ku niemu różne — mi drogami z głównej ulicy osady, uzbrojonych w łopaty i kije, Posuwali się wolno, nawołując się i co pewien czas, cały sznur ludzki stawał, węszył, nadśluchiwał.

Kiedy ich tak Nunez zobaczył, z nosami, wyciągniętymi pod wiatr — wybuchnął śmiechem. Ale po pewnym czasie, sytuacja wydała mu się mniej zabawną.

Jeden ze ślepców znalazł ślad jego na trawie i począł iść ku niemu, pochylając się i badając grunt.

W ciągu pięciu minut Nunez przyglądał się taktyce wrogiej linii i nagle żądza działania buchnęła w nim gwałtownym porywem. Wstał, zbliżył się do granicznego muru, zawrócił i poszedł im na spotkanie. Ślepcy stanęli półkolem, nieruchomi, nadśluchujący.

Nunez stał też bezruchu, ściskając łopatę w rękach.

Atakować?...

Krew pulsowała mu w skroniach rytmicznie, w takt starego przysłowia: — „W kraju ślepców — jednoocy są królami”.

Atakować?...

Obejrzał się na wysoki, gładki mur, pokryty lśniąca polewą, niemożliwy do przebycia, mimo, iż widniało w nim mnóstwo drobnych drzwiczek; spojrział na zbliżającą się linię wrogów. Ztyłu, od domostw, przybywały już posiłki.

Atakować?...

— Bogota! — zawołał ktoś — Bogota, gdzie jesteś?

Ścisnął mocniej rękojeść łopaty i postąpił parę kroków naprzód po łące, a w tej samej chwili ślepcy ruszyli z miejsca,

— Jeżeli dotkną się mnie, będą walił! — zaprzysiągł sobie. — Będę walił, jak mi Bóg miły!

Zawołał:

— Słuchajcie, chcę robić, co mi się podoba, w tej dolinie! Rozumiecie? Będę chodził, gdzie mi się zechce, i żył, jak uważam!

Ślepcy ruszyli ku niemu ławą, bardzo szybko, z wyciągniętymi rękami. Była to jakby zabawa w „ślepa babkę”, tylko, że szukano właśnie tego, który widział,

— Łapcie go! — zawołał któryś.

W jednej chwili obskoczyli go. Nunez poczuł, że musi zdobyć się na najwyższą energię i decyzję.

— Nie rozumiecie mnie! — krzyknął łamiącym się głosem, któremu na próżno usiłował nadać brzmienie, pewne i zdecydowane. — Jesteście ślepi, a ja widzę! Zostawcie mnie w spokoju!

— Bogota! połóż łopatę i nie chodź po trawie!

Ten rozkaz, śmiesznie poufały, doprowadził Nuneza do wściekłości.

— Zbiję was, potłukę! — wołał, łkając z przejęcia. — Będę walił! Dajcie mi pokój!

Począł biec, nie wiedząc dokąd ani po co. Uciekał od najbliższego ślepcy, gdyż wstręt go przejął na myśl, że może uderzyć człowieka, który nie widzi. Zatrzymał się, zdecydowany przebić sobą zwarte szeregi. Rzucił się w stronę dość dużego rozstępu między ludźmi, ale ślepcy, usłyszawszy jego ruch i kroki, zwarli się gęsto. Nunez skoczył przed siebie, ale widząc, że go pochwycą, podniósł łopatę i — paf! ciał na oślep. Poczuł pod narzędziem miękkie ramię i rękę... ktoś walił się na ziemię, a Nunez przebił szeregi swoich prześladowców.

Wyrwał się!

Przybliżał się pędem do głównej ulicy, a ślepcy, potrząsając kijami i narzędziami, biegli za nim z metodycznym pośpiechem.

Usłyszał tuż za sobą kroki i w ostatniej chwili stawił czoło barczystemu człowiekowi, który już, już go doganiał. Nunez stracił panowanie nad sobą, zakręcił łopatą w powietrzu, cisnął nią we wroga i zaczął uciekać, krzycząc dziko, gdy kogo mijał.

Ogarnął go strach paniczny. Pędził wściekle to tu, to tam, na oślep, zbaczając niepotrzebnie z drogi, chcąc widzieć naraz ze wszystkich stron, potknął się i upadł. Ślepcy usłyszeli w tejże chwili odgłos jego upadku. Nunez ujrzał nagle w murze granicznym małe otwarte drzwiczki, które wydały mu się wrotami raj; zerwał się i skierował ku nim bieg szalony. Nie obejrzał się już ani razu na swoich prześladowców; wybiegł za mur, potknął się na moście, skoczył pomiędzy skały, przeraziwszy młodą lamę, i padł na ziemię bez tchu. Tak skończył się jego zamach stanu.

Dwa dni i dwie noce przebywał Nunez poza murami doliny ślepców, bez pożywienia, bez schroniska, zastanawiając się wciąż nad niepojętym wydarzeniem. Myśląc nieustannie, powtarzał z gorzką ironią kłamliwe przysłowie: „W kraju ślepych — jednoocy są królami”.

Ważył przede wszystkim sposoby pokonania i zwyciężenia tego ludu, ale coraz jaśniej widział, że niema na to rady. Nie posiadał broni, a teraz będzie się trudno o nią wystarać. Zaraza cywilizacji dotarła do Bogoty. Nunez nie mógł zdobyć się na zamordowanie ślepego człowieka. Oczywiście, gdyby się na to zdecydował, mógłby dyktować ślepcom warunki pod grozą rzezi. Tylko, że — wcześniej czy później — musiałby zasnąć, a wtedy... Próbował znaleźć jakieś pożywienie w piniowym lesie, sklecić schronienie przed nocnym chłodem; powziął też słabą nadzieję, że uda mu się zwabić podstępem lamę, rozbić jej łeb kamieniem i tak zaopatrzyć się w mięso. Ale lamy nie miały doń zaufania, spoglądając nieufnie brązowymi oczyma, i uciekały, kiedy się zbliżał. Drugiego dnia poczuł gorączkę i

dreszcze. Wreszcie zszedł w dół do muru, otaczającego Krainę Ślepców, dla rozpoczęcia pertraktacji. Dążył wzdłuż kanału, nawołując. Aż dwóch ślepców podeszło do bramy i zagadało do niego.

— Byłem szalony — powiedział Nunez. — Jestem jeszcze bardzo młody! W tym tonie zgodzono się prowadzić z nim pertraktacje. Nunez dodał, że będzie teraz mądrzejszy i że żałuje swoich postępów.

I tu, nie panując nad sobą, rozplakał się, gdyż był bardzo chory i wyczerpany. Płacz jego uznano za dobry znak. Ślepcy zapytali jeszcze Nuneza, czy dalej obstaje przy tym, że „widzi”.

— Nie — odpowiedział. — To było szaleństwo. Słowo „widzi” nic nie znaczy, mniej, niż nic.

Zapytano go jeszcze, co znajduje się w górze, ponad ludźmi.

— Nad światem, na dziesięciokrotnej wysokości człowieka, rozpięty jest dach — dach ze skały — bardzo, bardzo gładki... — Wybuchnął histerycznym płaczem. — Ale nim mnie będziecie dalej pytali, dajcie mi coś do zjedzenia, bo skonam.

Oczekiwał najsroźszej kary, ale ten ślepy lud był tolerancyjny. Potraktowano bunt przybysza, jako jeszcze jeden dowód jego idiotyzmu i niższości umysłowej. Wychłostano go i przydzielono do najprostszyc i najcięższyc robót. Nunez, nie widząc innego wyjścia, wypełniał wszystko z rezygnacją. Chorował przez kilka dni, a ślepcy pielęgowali go troskliwie. Uczyniło mu to niewolę łatwiejszą, Nalegali jednak, aby pracował w ciemnościach, co było dlań niewypowiedzianie ciężkie. Ślepi filozofowie napominali go za niewybaczalną płochość umysłu i za wątpliwości, dotyczące sklepienia skalnego, które osłaniało ich garnek kosmiczny. Nunez wreszcie począł pytać sam siebie, czy nie pada ofiarą halucynacji, nie widząc nic podobnego ponad głową.

— Tak został on obywatelem Krainy Ślepców i tubylcy przestali stanowić dlań tłum nie rozróżniczkowany. Z wieloma ludźmi zeszedł się bliżej. Świat z tamtej strony gór wydawał mu się coraz bardziej nierealny. Poznał bliżej Jakóba, swego pana, człowieka dobrego, gdy nie był rozdrażniony; siostrzeńcem Jakóba był Pedro; najmłodsza zaś córka Jakóba miała na imię Medina–Sarote. Nie bardzo ją ceniono w dolinie, gdyż miała wyraziste rysy; tylko gładka, płaska twarz uchodziła wśród ślepców za ideał urody kobiecej. Medina Nunezowi wydała się piękną, najpiękniejszą na świecie; jej zamknięte powieki nie były ani czerwone, ani zapadnięte i wyglądały, jakby je miała za chwilę otworzyć; posiadała długie rzęsy, co było ogólnie uważane za poważne zniekształcenie. Jej głos był donośny i niemiły dla wydelikaczonego słuchu młodzieńców z doliny. Z tych to powodów nikt się do niej nie zalecał. Nadszedł czas, kiedy Nunez pomyślał, że jeżeli uda mu się uleczyć Medinę, chętnie pozostanie wśród ślepców do końca dni swoich.

Czatował na nią, szukał sposobności świadczenia jej drobnych przysług i wreszcie zwrócił jej uwagę.

Pewnej świątecznej nocy siedzieli blisko siebie w świetle gwiazd, a wśród gromady rozlegały się dźwięki słodkiej muzyki. Ich ręce się zbliżyły i Nunez odważył się ucisnąć smukłe paluszki. Delikatnie i czule oddała mu uścisk. Kiedy indziej, gdy spożywali posiłek w ciemnościach, dotknęła znów miękko jego ręki, a że ogień zapłonął w tej chwili żywiej, zobaczył bezgraniczną czułość na jej twarzy.

Postanowił wyjawić dziewczynie swoje uczucia.

Podszedł do niej pewnej letniej nocy, gdy przedła w świetle księżyca, W słabym blasku jaśniała, jak tajemniczy posąg ze srebra. Siadł u jej stóp i począł opowiadać, jak piękną mu się wydaje, jak ją kocha. Miał głos pieszczotliwy, mówił z czułym szacunkiem, bliskim lęku; a dotąd nikt jej jeszcze nie otoczył taką adoracją. Nie dała mu ostatecznej odpowiedzi, ale

widać było, że słowa Nuneza trafiły do jej serca.

Odtąd rozmawiał z nią przy każdym spotkaniu. Dolina stała się światem dla przybysza, a świat poza górami, gdzie ludzie żyją w świetle słońca, zdawał mu się fantastyczną bajką — Nieśmiało i z wahaniem zaczął kiedyś mówić ukochanej o wzroku.

Dziewczynie wydały się jego słowa najpoetyczniejszą z fantazji; słuchała opisów gwiazd i gór i swej własnej słodkiej, bladej urody z łagodną wyrozumiałością, graniczącą z poczuciem winy. Nie wierzyła niczemu, nie rozumiała połowy, ale dziwnie ją te opowieści zachwycaly, a góralowi zdawało się, że ukochana pojmuje go całą duszą.

Z czasem Nunez stał się śmielszym, a miłość jego — mniej bojaźliwą. Postanowił zażądać ręki dziewczyny — od Jakóba i starszyny; ale ona zlekła się i poczęła odwlekać decyzję.

Dopiero jedna ze starszych sióstr powiedziała Jakóbowi o miłości Mediny–Sarote i Nuneza.

Z początku powstała wielka opozycja przeciwko temu małżeństwu; nie dlatego, żeby ślepcy specjalnie cenili dziewczynę, ale uważali oni Nuneza za stworzenie, stojące na poziomie niższym, niż człowiek — za kretyna. Siostry Mediny–Sarote oparły się najostrzej, gdyż to małżeństwo zdyskredytowałoby je w oczach młodzieży, a stary Jakób, choć czuł coś na kształt przywiązania do swego uległego, posłusznego sługi, potrząsnął głową i powiedział, że nic z tego nie będzie. Młodzież doliny rozgniewała się na myśl o podobnym zepsuciu rasy, a jeden z nich zwymyślał i nawet uderzył Nuneza. Ten mu oddał. W taki sposób, po raz pierwszy, Nunez wykazał przewagę, jaką daje wzrok, nawet w półmroku. Po tym dowodzie nikt więcej nie odważył się podnieść na przybysza ręki. Ale małżeństwo wydawało się wszystkim niemożliwe.

Stary Jakób kochał bardzo swoją najmłodszą córeczkę, martwił się niezmiernie, gdy przychodziła płakać na jego ramieniu.

— Widzisz, kochanie, to jest kretyn. Ma halucynacje. Niczego nie potrafi dobrze zrobić.

— Wiem — płakała Medina–Sarote. — Ale idzie mu lepiej, niż z początku. Staje się rozsądniejszy. I jest silny, tatusiu, i miły — silniejszy i miłszy, niż ktokolwiek inny. I kocha mnie i — ojcie, ja go kocham!

Stary Jakób martwił się coraz bardziej, widząc swą córkę niepokieszoną, tym bardziej, że sam — i to było jeszcze gorsze — lubił Nuneza. Pewnego więc dnia udał się do pozbawionej okien sali, gdzie radziła starszyzna, i biorąc udział w ogólnej rozmowie, wtrącił słowo o Nunezie w odpowiednim momencie:

— Stan jego się polepsza. Miejmy nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy będzie równie zdrów, jak my wszyscy.

Po pewnym czasie jednemu ze starców, który umiał myśleć głęboko, przyszedł pewien pomysł do głowy. Był on wielkim doktorem wśród tego ludu, największym lekarzem, miał umysł wynalazczy i filozoficzny. Perspektywa uwolnienia Nuneza od jego dziwnych właściwości szczególnie pociągała mędrca. Pewnego dnia, w obecności Jakóba, skierował rozmowę na temat Nuneza:

— Zbadałem Bogotę — oświadczył — i rozumiem, co mu dolega. Przypuszczam, że potrafię go wyleczyć.

— Spodziewałem się tego! — zawołał stary Jakób.

— Ma on zajęty mózg. — Oświadczył ślepy doktor.

Wśród starców rozległ się szept apróbujący.

— Otóż, co wywołuje tę chorobę? — ciągnął filozof.

— Co takiego? — zawołał Jakób, ‘

— Wywołują ją mianowicie — odpowiedział doktor — te dziwne miejsca, zwane oczami, które istnieją jedynie poto, aby tworzyć miłe dołki na twarzy. W wypadku Bogoty są one chore i uciskają mózg. Nienormalnie nabrzmiące, otoczone włosami o ruchliwych powiekach

— świadczą o chorobie. Nic też dziwnego, że mózg jego jest nieustannie podrażniony.

— Ach, więc to tak? — pytał Jakób. — Więc tak?

— Sądzę, że mogę teraz powiedzieć z całą pewnością: ażeby kompletnie wyleczyć Bogotę, trzeba go poddać drobnej i łatwej operacji — należy usunąć te drażniące narośle.

— I wtedy będzie zdrowy?

— Wtedy będzie zupełnie zdrow i stanie się doskonałym obywatelem.

— Dzięki Bogu, że dał nam naukę — rzekł stary Jakób i poszedł wprost do Nuneza, ażeby zapowiedzieć mu tę radosną nadzieję.

Ale sposób, w jaki Nunez przyjął nowinę, wydał mu się chłodny i napełnił go rozczarowaniem.

— Można by pomyśleć — powiedział — z twojego tonu, że mało ci zależy na mojej córce.

Medina — Sarote poczęła gorąco namawiać Nuneza, aby poddał się operacji.

— Ty?! — zawołał Nunez. — I ty chcesz, abym wyrzekł się daru wzroku!

Skinęła głową.

— Wzrok jest moim światem! Głowa jej pochyliła się niżej,

— Tyle jest pięknych rzeczy — kwiaty, drzewa, połysk futra; dalekie niebo, ocienione puszkami chmur; zachody słońca, gwiazdy! I jesteś ty!... Dla ciebie samej dobrze jest mieć wzrok. Widzieć twoją słodką, pogodną twarz, twoje śliczne usta, twoje kochane, piękne ręce, splecione na kolanach. Oczarowałaś właśnie moje oczy, moje oczy prowadzą mnie do ciebie

— a ci idioci chcą mi je zabrać. Odtąd będę musiał dotykać cię, słuchać, ale nigdy nie zobaczyć. Będę musiał wejść pod to sklepienie ze skał, kamieni i ciemności, pod ten okropny sufit, który przygniata waszą wyobraźnię. Nie! Ty przecież nie chcesz zmusić mnie do tego?

Zdjęła go przykra niepewność. Zamilkł po tym pytaniu,

— Chciałabym — powiedziała — czasem... Urwała,

— Czegóż to? — zapytał trochę natarczywie.

— Chciałabym czasem... żebyś nie mówił w ten sposób.

— Jak?

— Wiem, że to, co mówisz, jest śliczne. Twoja wyobraźnia! Kocham ją, ale...

Dreszcz zimny go przeniknął.

— Ale?... — zapytał zduszonym głosem.

Milczała,

— Sądzisz... myślisz... że byłoby lepiej...

Zrozumiał. Poczul gniew nagły, protest przeciwko głupiemu fatum, a jednocześnie czułość dla tej, która go nie rozumiała — czułość, bliską litości.

— Najdroższa! — powiedział i patrząc na jej bladość, zrozumiał, jak intensywnie pragnęła i nie chciała, nie mogła powiedzieć. Objął ją ramieniem, pocałował z lekka i siedzieli tak czas jakiś w milczeniu.

— A jeżeli się zgodzę? — zapytał w końcu łagodnie.

Zarzuciła mu ręce na szyję, płacząc gwałtownie.

— Oh, gdybyś chciał! — załkała, — Gdybyś tylko chciał!

W ciągu tygodnia, poprzedzającego operację, która go miała dźwignąć ze stanu zależności i, służalstwa do rzędu wolnych obywateli Krainy Ślepców, Nunez nie zaznał snu.

Podczas gorących, słonecznych godzin, gdy wszyscy spali bez troski, siedział, rozmyślając, albo włóczył się bez celu, ważąc w myślach okropny dylemat. Dał już odpowiedź, wyraził zgodę, a jednak nie był pewien! Upłynęła wreszcie ostatnia noc pracy, słońce wypłynęło, wspaniałe, ponad złotymi wierzchołkami gór i rozpoczął się dla Nuneza ostatni dzień jego widzenia.

Rozmawiał parę chwil z Mediną — Sarote, nim udała się na spoczynek.

— Jutro — powiedział — nie będę już więcej widział.

— Najdroższy! — odrzekła, ściskając go mocno za ręce. — Nie będziesz prawie wcale cierpiał — dodała. — Zniesiesz to, wytrzymasz dla mnie, najukochańszy. Jeżeli serce i życie kobiety mogą wynagrodzić poświęcenie, ja ci twoje wynagrodzę. Mój najdroższy, ja ci to wynagrodzę.

Pełen był litości dla niej i dla siebie; Pochwycił dziewczynę w ramiona, pocałował w usta i ostatni raz patrzył na jej słodką twarzyczkę,

— Żegnaj! — wyszeptał na ten, tak drogi widok. — Żegnaj!

Potem w milczeniu odwrócił się od Medyny.

Słyszała jego oddalające się kroki, a było coś w ich rytmie, co pobudziło ją do gorzkiego płaczu.

Nunez chciał pójść gdzieś daleko, gdzie mógłby popatrzeć na bujne łąki, całe w narcyzach, i tam pozostać aż do godziny swojej ofiary; idąc tak przed siebie, podniósł oczy i zobaczył poranek, poranek, schodzący z gór, jak anioł w złotej zbroi...

W obliczu tej światłości wydało mu się, że on sam i miłość jego, i świat ślepców w dolinie — są tylko snem okropnym.

Nie zszedł na łąki, jak zamierzał; zdążył wciąż w górę; przeszedł poza granicę muru; stanął na zboczu górskim. Patrzył na lodowce i na zalane słońcem śniegi.

Widział ich nieskończone piękno, a wyobraźnia poniosła go ku wszystkiemu, z czym zdecydował zerwać na zawsze.

Myślał o wielkim, wolnym świecie, z którego przyszedł, do którego należał, i ujrzał wyobraźnią dalsze zbocza, — dalekie przestrzenie, Bogotę — miasto, co jest jak jasność wspaniała za dnia, jak tajemnica, pełna światła w nocy; miasto pałaców i fontann, posągów i białych domków, rozrzuconych w niewielkich odstępach od siebie. Pomyślał, że być może,

udałoby się po dniu albo dwóch wspinaczki, po przebyciu paru przełęczy — zbliżyć się do jego pracowitych placów i ulic. Pomyślał o podróży z biegiem rzeki, od wielkiej Bogoty do świata większego jeszcze. Poprzez miasta i wsie, lasy i pustki płynąc tak wartką wodą, aż do chwili, kiedy jej brzegi się rozstąpią, łodzie zanurzą w spienionych falach; aż do chwili, kiedy się wypłynie na morze — morze bezgraniczne, z tysiącem, tysiącem wysp' i z okrętami, dążącymi w mglistą dal, we wszystkie strony szerokiego świata. Tam widzi się niebo, nie ścieśnione górami; niebo, a nie pokrywkę, jak tutaj. Arka niezmiernego błękitu, najprzepaścista przepaść, gdzie gwiazdy płyną po swych drogach.

Oczy Nuneza z rosnącym zainteresowaniem badać poczęły kotarę gór, dzielącą go od świata.

Gdyby tak, na przykład, zacząć się wspinać tędy, po tych piargach, aż do tamtego kominka górskiego, wyszedłby poza linię omszonych pni, a gdyby wspiąć się jeszcze wyżej i wyżej, wydostałby się ponad gardziel skalną. A potem? To zbocze byłoby nie nazbyt trudne.

Stamtąd, kto wie, może by dało się pokonać ścianę, otaczającą przepaść, i wydostać się na śniegi. A potem? Potem będzie już na złocistych śniegach, na połowie drogi do szczytu tej wyniosłej pustyni.

Obejrzał się na wioskę i patrzył długo.

Myślał o Medinie — Sarote i stawała się dlań coraz mniejsza i coraz dalsza.

Zwrócił się znowu w stronę górskiej ściany, którą oświetlał wschodzący dzień,

I bardzo ostrożnie począł się wspinać.

Gdy słońce zachodziło, nie wdzierał się już na skałę, ale był daleko, daleko. Niedawno był jeszcze wyżej, ale i teraz leżał wysoko. Ubranie jego wisiało w strzępach, ciało miał zakrwawione i potłuczone, ale leżał, jakby mu było bardzo dobrze, a na twarzy jego jaśniał uśmiech.

Gdy tak leżał, dolina zdawała się daleką, głęboką mogiłą. Pełna była mgły i cienia, a szczyty górskie stały całe w blasku i płomieniu. Najdrobniejsze załamania skały w pobliżu odcinały się z subtelną pięknnością; żyła zielonego kamienia wiła się na szarej skale, kryształki górskie błyskały tu i ówdzie, a twarz Nuneza spoczywała na drobnych, prześlicznych, pomarańczowych porostach. Głębokie, tajemnicze ciemności zawisły nad skalną gardzielą; błękit, przechodzący w purpurę, i purpura, rozjaśniona połyskliwą ciemnością. Nad głową miał niezmierną przestrzeń nieba.

Ale Nunez tego nie widział. Leżał nieruchomo, uśmiechnięty najwyższą radością: wyrwał się z Krainy Ślepców, z krainy, której ongiś zamierzał zostać królem.

Blaski zachodu znikły, noc nadeszła, Nunez spoczywał w chłodnym blasku gwiazd.

KRÓLESTWO MRÓWEK

I

Kiedy kapitan Gerilleau otrzymał rozkaz poprowadzenia kanonierki „Benjamin Constant” do Badamy, leżącej nad Batenem, dopływem Quaramadema, ażeby dopomóc mieszkańcom, nawiedzonym przez plagą mrówek — posądził władzę o kpiny. Awansował dotychczas w sposób romantyczny, i nieprzewidziany. Pomagały mu do tego jego marzące oczy i miłość pewnej eleganckiej brazylijskiej damy; fakt ten nawet podniosły pisma „Diaro” i „O Futuro” w przykrej formie, nie szczędząc ironicznych komentarzy. Kapitan obawiał się więc, że i obecnie da znów powód do kpin i nieposzanowania.

Był on Kreolem, choć jego poglądy na etykietę i dyscyplinę zdradzały czystą krew portugalską. Otwierał swoje serce jedynie przed Holroydem, inżynierem z Lancastire’u, który przybył wraz ze statkiem. Zwierzenia swoje traktował w znacznej mierze, jako ćwiczenia w języku angielskim: „th” bowiem jego brzmiało wciąż niezadowolająco.

— Niewątpliwie — powtarzał — chcą mnie ośmieszyć. Jaka może być rada na mrówki?

Przyszły, to i pójdą.

— Kiedy właśnie — odrzekł Holroyd — te mrówki nie chcą się wynieść. Ów chłopak, który, jak pan mówił, jest Zambo*...

— Zambo, on powiada, że to nie mrówki, a ludzie zaczynają uciekać.

Kapitan palił nerwowo papierosa.

— Takie rzeczy bywają — powiedział wreszcie. — Cóż wielkiego? Plaga mrówek, czy Bóg wie czego? Była już taka plaga w Trynidad — małe mrówki, objadające liście z drzew, zniszczyły wszystkie pomarańcze i mangowe drzewa. O cóż chodzi? Czasami się też zdarza, że całe armie mrówek napadają na dom. Trzeba wtedy dom opuścić. Kiedy się wraca — dom jest czyściutki, jak nowy. Skorpionów, karaluchów, pcheł — ani na lekarstwo!

— Ten Zambo powiada — odparł Holroyd — że to jest jakiś nowy gatunek mrówek.

Kapitan wzruszył ramionami, rozgniewany, i zajął się całkowicie papierosem.

Powrócił jednak do przerwanej rozmowy.

— Mój drogi Holroydzie, cóż ja mogę poradzić na te diabelskie mrówki?

Zastanowił się chwilę.

— Ależ to nonsens! — zdecydował.

Po południu włożył odświeżony garnitur i zszedł na brzeg; kiedy powracał, poprzedzały go skrzynie i skrzynki z butelkami. Holroyd siedział na pokładzie, palił namiętnie, zachwycając się chłodnym brazylijskim wieczorem. Był oto o sześć dni drogi od dorzecza Amazonki, o kilka set mil — od oceanu; horyzont był rozległy, jak na morzu, od południa widniała ławica piaszczysta, usiana kępami trzciny. Woda płynęła wartko, jak ze śluzy, mętna i spieniona, roiła się od krokodyli i ptactwa wodnego niosąc na swych falach zwalone pnie drzewne. Tu pustynia, niezmierna pustynia, przepęlniała, zda się, duszę. Miasteczko Alemquer, z krytymi słomą domkami, nędznym kościółkiem, ze zrujnowanymi zabytkami lepszych czasów — zdawało się nic nie — znaczącym punkiem w tym rozpasaniu dzikiej przyrody drobną monetą, zgubioną na Saharze. Holroyd był młodym człowiekiem, po raz pierwszy przebywał pod zwrotnikiem. Przyjechał wprost z Anglii, gdzie drogi, kanały i płoty doprowadziły przyrodę do stanu zupełnej uległości. Tutaj zrozumiał nagle, jak niewiele znaczy człowiek. Od sześciu dni płynęli przeciwko prądowi, przez mało znane przesmyki rzeczne, gdzie niezmiernie rzadko udawało się spostrzec człowieka. Jednego dnia widziało się

* Zambo — mieszaniec.

łódkę; innego — daleki posterunek; kiedy indziej wreszcie nie dostrzegano żywej duszy.

Zdawało się już Holroydowi, że człowiek jest rzadkiem zwierzęciem, odgrywającym nieznaczną rolę w wszechświecie... Uprzytomnił to sobie jeszcze lepiej, po upływie pewnego czasu, w ciągu owej krętej drogi w kierunku Batemo, w towarzystwie tego dziwnego

zwierzchnika, który wioził na pokładzie wielką armatę, choć nie wolno mu było marnotrawić nabojów. Holroyd prędko nauczył się hiszpańskiego języka, choć posługiwał się właściwie tylko czasem terażniejszym i pierwszym przypadkiem. Jediną jeszcze osobą na statku, która umiała kilka słów po angielsku, był szofer — murzyn, ale jak mówił! Pożal się Boże!

Pomocnik kapitana da Cunha, „parlował” niby po francusku, ale Holroyd poznał francuszczyznę zupełnie inną w Louthporcie, więc też musieli poprzestawać na wymianie uprzejmości i krótkich zdań o pogodzie, ale nawet pogoda w tym zastanawiającym nowym świecie, nawet pogoda nie była ludzką: upał w dzień, upał w nocy; w powietrzu pełno było pary, nawet wiatr dmuchał gorącą parą, nasyconą zapachem rozkładającej się roślinności; aligatory, dziwaczne ptaki, owady wszelkiego rodzaju i najrozmaitszej wielkości, żuki i mrówki zdawały się pytać, czego chce człowiek w tym kraju, gdzie w atmosferze dni upalnych nie było radości, a noc nie dawała ochłody. Ciężar ubrania stawał się nie do zniesienia, ale nie można go było zdjąć w dzień pod grozą upieczenia się na słońcu, w nocy — pożarcia przez moskity. Na pokładzie oślepiało słońce, a w kajucie można się było udusić. W ciągu dnia nawiedzały okręt małe muszki, natrętne i jadowite, tnące zawsze w okolice kostki lub dłoni.

Kapitan Gerilleau, jedyna rozrywka dla Holroyda wśród tych mąk fizycznych, wiercił mu dziurę w brzuchu, opowiadając dzień w dzień, jakby różaniec, wciąż te same miłosne przygody z anonimową kolekcją kobiet. Czasem proponował polowanie, więc strzelali do aligatorów; w rzadkich odstępach czasu zawijali do siedzib ludzkich, w cieniu drzew, zatrzymywali się na dzień, dwa, siedzieli i pili z kim się nadarzyło. Pewnej nocy tańczyli z Kreolkami, które uznały, że słabe początki Holroyda w kunszcie hiszpańskiego języka, aż nadto wystarczają na ich potrzeby. Ale to były tylko jasne przeblęski w tym szarym ciągu dni podróży po bystrej rzece, wśród miarowego łomotu motoru. Jediną pociechą było pewne

bóstwo, przychylne i pogańskie, które pod postacią pół gąsiora wina pilnowało kusząco tyłu okrętu.

Gerilleau podczas postojów dowiadywał się coraz to nowych i nowych rzeczy o mrówkach i wreszcie począł się interesować swą misją.

— To jest jakiś nowy gatunek — zdecydował. — Chyba zostaniemy — jak to się nazywa — entomologami. Są olbrzymie, pięciocentymetrowe! Nawet większe! To jest dzikie! Będziemy musieli, jak małpy, iskać się i tępić owady. Ba, kiedy one po prostu pożerają okolicę.

Nagle wybuchnął gniewem.

— Niech pan sobie wyobrazi, że wynikają jakieś zatargi z Europą. A ja jestem tutaj — wkrótce będziemy powyżej Rio Negro — i moja armata śniedzieje nieużytecznie w tym przeklętym kraju.

Poklepał swoje kolano i zamyślił się.

— Ci ludzie, stamtąd, gdzieśmy tańczyli, zwiali wszyscy, co do nogi. Porzucili cały swój dobytek. Pewnego dnia mrówki napadły na ich domy. Wszyscy musieli się wynieść.

Wiadome rzeczy, kiedy nadchodzą mrówki, trzeba brać nogi za pas i zostawić dom na łasce Bożej. Gdyby kto został, pożarłyby go, jak nic. Niech pan słucha! Zazwyczaj, potem mrówki odchodzą; mówi się: — „Mrówki przeszły”, — Tymczasem tutaj... mrówki nie przeszły.

Spróbowali wrócić do domu — syn najpierw. Mrówki napadły jego.

— Oblazły go?

— Pogryzły. Więc wybiegł pędem z domu i wrzeszczał. Przebiegł przed wszystkimi — i buch do rzeki. Rozumie pan? Skoczył do rzeki i zatopił mrówki. Tak.

Gerilleau umilkł, spojrzął na Holroyda swymi omdlewającymi oczyma i poklepał jego kolano.

— Też noc umarł, zupełnie, jakby go ugryzł wąż.

— Te mrówki jadowite?

— Kto wie? — Gerilleau wzruszył ramionami. — Możliwe, że go jakoś okropnie pogryzły. Wstąpiłem do marynarki po to, żeby walczyć z ludźmi. Takie mrówki, to sobie przychodzą i odchodzą. To nie jest zajęcie dla mnie.

Przez cały ciąg podróży chętnie jednak mawiał z Holroydem o mrówkach. Za każdym razem, kiedy zdarzyło im się spotkać jakąś istotę ludzką wśród bezmiarów wody, słońca i lasów, Holroyd, lepiej obznajmiony z miejscowym narzeczem, rozpoznawał słowo „Sańba”, coraz częstsze, coraz bardziej dominujące nad całą rozmową.

Uznał, że sprawa mrówek zaczyna się przedstawiać coraz bardziej interesująco i w miarę, jak się przybliżali do celu podróży, ciekawość jego rosła. Gerilleau porzucił swe odwieczne tematy, a oficer portugalski przyłączył się teraz do rozmowy; znał obyczaje mrówek, tnących liście, i popisał się swymi wiadomościami. Gerilleau od czasu do czasu tłumaczył jego słowa Holroydowi. Oficer opowiadał o drobnych, rojnych robotnicach, których zadaniem jest wojna, i o większych, które rządzą i wydają rozkazy, a walcząc z człowiekiem, wpełzają mu na kark i gryzą aż do krwi. Opowiadał, jak tną liście i tworzą z nich gąbczaste koryta i zapewniał, że ich mrowiska ciągną się w Caracasię na przestrzeni setek metrów. Przez dwa dni trzej mężczyźni dysputowali na temat, czy mrówki posiadają oczy. Drugiego popołudnia pokłócili się o to na dobre i dopiero Holroyd uratował sytuację, udał się bowiem łódką na brzeg dla stwierdzenia prawdy. Udało mu się złapać kilka gatunków; niektóre miały oczy, a niektóre — nie. Wobec tego zaczęły się debaty — czy mrówki kłują, czy gryzą?

— Te nasze mrówki — oznajmił Gerilleau, po zebraniu informacji w pewnym rancho — mają wielkie oczy. Nie biegają, jak ślepe, jak większość innych. Nie! Kryją się po kątach i patrzą, co się dzieje.

— I kłują? — zapytał Holroyd,

— Tak. Kłują, Mają zatrute żądło. — Pomyślał chwilę, — Nie pojmuję, co ludzie mogą na to poradzić?

— Powinno się czekać, aż sobie pójdą.

— Ba, kiedy one właśnie nie odchodzą.

— Pójdą sobie — powtarzam.

Poza Tamandu całe długie osiemdziesięciokilometrowe wybrzeże niezamieszkałe jest przez nikogo; dalej, dopływ Amazonki i rzeka Batemo tworzą razem olbrzymie jezioro; a jeszcze dalej las podchodzi do rzeki i staje zwartą ścianą wzdłuż łożyska. Charakter koryta rzecznoego zmienia się, płyną po nim stosy pni drzewnych.

„Benjamin Constant” zarzucił tego wieczora kotwicę w cieniu nadbrzeżnych drzew. Po raz pierwszy od wielu dni podróżni zaznali nieco chłodu; Holroyd i Gerilleau siedzieli do późnej nocy, paląc cygara i rozkoszując się rześkim powietrzem. Myśli Gerilleau były przepełnione mrówkami i tym wszystkim, czego się od nich należało spodziewać. Zdecydował się zasnąć wreszcie i leżąc już na materacu, umieszczonym na pokładzie, powiedział po raz setny z niepokojem, a nawet z rozpaczą:

— Jaka jest rada na mrówki? Wszystko to nie ma ani odrobiny sensu.

I Holroyd pozostał sam, pogrążony w myślach, drapiąc pogryzione, swędzące dłonie.

Usiadł na burcie i przysłuchiwał się zmiennemu oddechowi Gerilleau, póki ten nie zasnął.

Plusk wody ściągnął jego uwagę i znów powróciło poczucie ogromu otoczenia, które narastało ciągle od chwili wyjazdu z Para, Jedno jedyne światło błyszczało na statku i słyhać było głosy na dziobie okrętu. A potem — cisza. Oczy Holroyda przeniosły się z ciemnych zarysów kanonierki na brzeg, słabo widniejący w ciemnościach, w kierunku czarnej, oszłamiającej tajemnicy lasu, gdzie migotało czasami światełko luccioli i słyhać było szmer

i szelest tysiąca istnień.

Nieludzki ogrom tego kraju zdumiewał go i przytłaczał, — Wiedział, że niebo jest puste, że gwiazdy są zawieszane w nieskończonej przestrzeni; rozumiał, że ocean jest olbrzymi i niepokonany, ale żyjąc zawsze w Anglii, uważa, że ziemia należy do ludzi. I tak jest rzeczywiście — w Anglii; pozwala się dzikim zwierzętom żyć przez tolerancję, rozmnażać się na mocy kontraktu; drogi, płoty zapewniają mieszkańcom zupełne bezpieczeństwo. Na mapie ziemia barwiona jest rozmaicie, dla wykazania opanowanych przez ludzi terenów — w jaskrawym przeciwieństwie do gładkiego, niepokonanego błękitu mórz. Wierzył też Holroyd, że nadejdzie dzień, kiedy na całej kuli ziemskiej zapanuje kultura, pługi, tramwaje i bite gościńce, bezpieczeństwo i organizacja. Ale teraz — zwątpił.

Ten nieskończony las był niepokonany, a człowiek na jego tle wydawał się intruzem, zdany na łaskę i niełaskę wszechwładnej przyrody. Jechało się całymi milami pośród milczącej walki drzew — olbrzymów, zdradliwych lian, wyzywających kwiatów; a wszędzie aligatory, żółwie, nieskończone mnóstwo ptaków i owadów żyło, jak u siebie, na własnym zwykłym i stałym terenie, a człowiek — człowiek mógł, co najwyżej, przeniknąć do zdradliwych polan, walcząc z roślinnością, ze zwierzem i owadami, ażeby osiągnąć wątpliwe, kruche zwycięstwo i czekać każdej chwili śmierci od węża, — owada, drapieżnika i gorączki. W wielu miejscach wzdłuż rzeki człowiek musiał opuszczać zawczasu plac walki: poniechana przystań, szczątki tego, co się niegdyś zwało „casa”, tu i ówdzie zrujnowane białe ściany czy zwalona wieża — świadczyły aż nadto wymownie o tym, co się tu działo, Puma, jaguar były tu panami.

Ale kto sprawował prawdziwe władztwo?

O kilka mil dalej, w tymże lesie było oto pewno więcej mrówek, niż ludzi na całym świecie!

Ta myśl wydała się Holroydowi zupełnie nową. W ciągu kilku tysięcy lat człowiek przeszedł z okresu barbarzyństwa do okresu cywilizacji, która pozwoliła mu uważać się za pana przyszłości i władcę globu. Cóż może stanąć na przeszkodzie podobnej ewolucji u mrówek? Te, któreśmy znali dotychczas, żyją w niewielkich społecznościach i nie czynią żadnego wysiłku, aby podbić świat. A przecież mają swój język, są obdarzone inteligencją. Przypuśćmy teraz, że mrówki poczynają robić użytek ze swojej wiedzy o świecie, jak to uczynili ludzie przy pomocy ksiązek i dokumentów, że posiadają broń, tworzą wielkie państwa, wypowiadają światu planową i zorganizowaną wojnę?

Przypomniało się Holroydowi, co Gerilleau opowiadał o mrówkach, z którymi mieli właśnie walczyć. Posiadały jad na podobieństwo węży. Miały mądrzejszych przywódców, niż mrówki, tnące liście. Były mięsożerne i nie porzucały miejsc, do których raz przybyły. Las był cichy. Woda chlupała o kadłub okrętu. Dokoła zawieszonych u góry latarni wirowały ćmy.

Gerilleau poruszył się w ciemnościach i westchnął,

— Cóż można na to poradzić? — zamruczał i przewrócił się na drugi bok.

Natrętny brzęk moskita obudził Holroyda z zamyślenia, które stawało się coraz bardziej ponure.

II

Następnego ranka Holroyd dowiedział się, że od Badamy dzieli ich już tylko czterdzieści kilometrów; począł też z rosnącym zainteresowaniem przypatrywać się brzegom. Co chwila wychodził na pokład i przyglądał się okolicy. Nie widać jednak było nigdzie śladów ludzkich z wyjątkiem ruin jakiegoś domu i pozieleniałej fasady dawno opuszczonego klasztoru w Maju; gałęzie drzewa wyzierały z otwartego okna, a kręte liany wiły się dokoła pustych drzwi. Całe gromady dziwacznych, żółtych motyli, o półprzezroczystych skrzydłach, pokazały się tego ranka; wiele z nich opadło na pokład i można je było łapać rękami. Około południa „Benjamin Constant” napotkał opuszczoną „cubertę”.

Nie wydawała się, zresztą, pustą na pierwszy rzut oka; oba jej żagle wisiały luźno w spokojnym popołudniowym powietrzu, a na pokładzie widniała postać siedzącego człowieka. Inna postać zdawała się spać, z twarzą, opartą o wydłużony pomost, biegnący przez środek łodzi.

Na widok chwiejącego się steru i kierunku łodzi, dążącej bezwładnie z prądem rzeki, który spychał ją wprost na kanonierkę, marynarze zrozumieli że dzieje się tam coś niedobrego.

Gerilleau przyglądał się „cubercie” przez lornetę — i uwagę jego zwróciła dziwna barwa twarzy siedzącego człowieka: twarz jego była czerwona, bez nosa, a postać skurczona raczej, niż siedząca. Im dłużej kapitan patrzył, tym trudniejszy do zniesienia był dla niego ten widok, ale nie mógł zdecydować się, aby odjąć lornetę od oczu.

Uczył to wreszcie, po czym postąpił parę kroków, wołając Holroyda. Następnie zawrócił, aby przyholować „cubertę”. Holował ją tak długo, aż przybliżyła się zupełnie. Widać było dokładnie jej nazwę: „Santa Rosa”.

Kiedy podpłynęła już całkiem blisko, szarpnęła się silnie i wtedy sylweta skurzonego człowieka znikła nagle. Kapelusz zleciał mu z głowy, odsłaniając twarz ohydną, a ciało jego

obsunęło się, potoczyło i znikło za burta.

— Caramba! — wrzasnął Gerilleau i rzucił się na spotkanie Holroydowi.

Anglik był właśnie w połowie drabinki sznurowej.

— Widział pan? — zawołał kapitan.

— Trup — odrzekł Holroyd. — To jasne. Dobrze — by było posłać łódź dla zbadania sytuacji. Coś tam jest nie w porządku.

— Czy pan... na miłość boską... widział jego twarz?

— A cóż takiego?

— To była twarz — ach! — nie znajduję słów.

Kapitan nagle odwrócił się od Holroyda i począł energicznie wydawać rozkazy, Kanonierka zawróciła i poczęła dążyć równoległe do barki; spuszczone szalupę z porucznikiem da Cunha i z trzema ludźmi. Ciekawość skłoniła kapitana do przysunięcia kanonierki na najbliższą odległość do barki, na którą właśnie wchodził porucznik, tak, że Holroyd mógł widzieć całą „Santa Rosę”, od pokładu, aż po dno.

Najwidoczniej załoga składała się tylko z tych dwóch zmarłych ludzi i choć trudno było dostrzec ich twarze, zaciśnięte i pogryzione ręce świadczyły, że podlegali procesowi jakiegoś szczególnego rozkładu. Przez chwilę przyciągały uwagę Holroyda te dwa zagadkowe tłumoki zbrukanego ubrania i rozprężonych członków ludzkich, po czym wzrok jego skierował się na dno barki, napełnione spiętrzonymi kuframi, paczkami, i zatrzymał się wreszcie na małej otwartej kabinie, opustoszonej w niewytłumaczony sposób. Nagle spostrzegł, że na deskach pokładu roją się czarne, ruchliwe plamki.

Te plamki pochłonęły całą jego uwagę. Poruszały się one w promieniu ciała leżącego człowieka, na kształt — to porównanie nagle zjawilo się w myślach Halroyda — tłumy, rozproszonego dokoła areny, po skończonej walce byków.

Spostrzegł, że Gerilleau stał przy nim.

— Kapitanie — rzekł Holroyd, — Czy ma pan lornetę? Czy może ją pan nastawić tak, żeby barkę widać było równie dobrze, jak tę tu podłogę?

Gerilleau wykręcił szkła, zamruczał i podał mu lornetę. Nastąpiła chwila skupionego badania.

— To są mrówki — powiedział Anglik i oddał lornetę kapitanowi Gerilleau.

Miał wrażenie, że widzi masę wielkich, czarnych mrówek, różniących się od zwykłych tylko wielkością; niektóre największe były jak gdyby przyodziane w coś szarego. Holroyd przyglądał się im jednak nazbyt krótko, aby zauważyć szczegóły. Głowa porucznika da Cunha pokazała się z za burty stateczku. Wywiązał się krótki dialog,

— Niech pan wejdzie na „cubertę!” — zawołał Gerilleau,

Porucznik zaproponował, mówiąc, że barka pełna jest mrówek.

— Ma pan przecież wysokie buty — odrzekł kapitan.

Porucznik zmienił temat rozmowy,

— Ale w jaki sposób zginęli ci ludzie? — zapytał.

Kapitan Gerilleau zapuścił się w hipotezy, których Holroyd nie mógł już zrozumieć, i dwaj oficerowie poczęli dysputować z rosnącą gwałtownością. Holroyd podniósł znów do oczu lornetę i zreasumował swoje spostrzeżenia, dotyczące mrówek w pierwszym rzędzie, a w drugim — zmarłego człowieka, leżącego w barce.

Opisał mi później owe mrówki bardzo szczegółowo.

Powiedział, że były one większe od wszystkich, znanych mu dotychczas; czarne, o ruchach szybkich i zdecydowanych, różnych zupełnie od mechanicznego miotania się zwykłych mrówek. Na każde dwadzieścia, mniej więcej, przypadała jedna, znacznie większa, ze szczególnie wydatną głową. Przypomniały mu one dowódców mrówek, tnących liście;

podobnie, jak u tamtych, zdawały się dowodzić i koordynować poruszenia całego tłumu. W szczególny sposób odrzucały w tył odwłoki, jakby chcąc łatwiej posługiwać się przednimi łapkami, Holroyd miał dziwne wrażenie — z tej odległości jednak trudno było sprawdzić — że większość mrówek, przyodziana w szczególny sposób, miała jakieś przedmiociki, przyczepione do ciała za pomocą nici błyszczących czy drutu.

Opuścił gwałtownie szkła, spostrzegłszy, że kwestia dyscypliny pomiędzy kapitanem i jego podwładnym zaostrza się niezwykle.

— To pański obowiązek! — wołał kapitan. — Proszę wejść na ten statek! Taki jest mój rozkaz.

Było widoczne, że porucznik chciał odmówić. Głowa jednego z marynarzy, Mulata, wyłoniła się w pobliżu.

— Sądzę, że tych ludzi zabiły mrówki — rzekł gwałtownie Holroyd po angielsku.

Kapitan wybuchnął gniewem. Nie odpowiedział nawet Holroydowi.

— Rozkazałem panu wejść natychmiast na pokład barki! — wrzasnął kapitan po portugalsku do swego podwładnego, — Jeżeli pan tego natychmiast nie zrobi, będę uważał to za bunt. Za bunt i za tchórzostwo! Gdzie jest odwaga, której powinniśmy składać ciągłe dowody? Zakuję pana w kajdany, rozstrzelam, jak psa!

Bluznął potokiem przekleństw, wymyślał, miotał się tu i tam — Potrząsał pięściami, szarpał się, jak w ataku wścieklizny, a porucznik stał nieruchomo i patrzył, blady i milczący.

Cała załoga zebrała się na dziobie okrętu; na twarzach wszystkich malowało się zdumienie.

Nagle, gdy kapitan zamilkł na chwilę, porucznik, jakby zdobywszy się na bohaterskie postanowienie, zsalutował, wyciągnął się i stanął na pokładzie „cuberty”.

— Ach! — zawołał Gerilleau i usta jego zamknęły mu się nagle, jak potrzask.

Holroyd ujrzał mrówki, uciekające przed butami da Cunha, Portugalczyk podszedł wolno

do leżącego człowieka, zawahał się, pochwycił go za kurtkę i odwrócił. Czarny potok mrówek wypełznął z ubrania; da Cunha odskoczył w tył gwałtownie i począł tupać i deptać owady.

Holroyd pochwycił lornetkę. Dojrzał mrówki, rozproszone dookoła stóp intruza, zachowujące się w sposób zupełnie inny, niż to widział zazwyczaj. Ich ruchy nie miały nic ze ślepego miotania się zwykłych mrówek; patrzyły na porucznika, jak zorganizowana grupa ludzi mogłaby patrzeć na atakującego ich potwora,

— Dlaczego umarł?! — krzyknął kapitan, Portugalczyk wyjaśnił, iż ciało jest nazbyt przeżarte, aby można było cokolwiek stwierdzić,

— Co się dzieje na dziobie? — zapytał Gerilleau, Porucznik postąpił parę kroków i począł odpowiadać po portugalsku, — Nagle zatrzymał się i strząchnął coś gwałtownie z nogi.

Wykonał kilka szczególnych ruchów, jakby usiłując zdeptać coś niewidzialnego, i podbiegł prędko do burty. Opanował się, zawrócił, wszedł z determinacją na dno statku, po czym wdrapał się na przedni pokład, gdzie były przymocowane wiosła, zatrzymał się na chwilę przed drugim trupem, jęknął głośno i poszedł w stronę kabiny dziwacznym, sztywnym krokieta. Zaczął rozmowę z kapitanem, zimną, pełną przesadnego szacunku — kontrastującą żywo z poprzednią wściekłością i Gbelgami kapitana, Holroyd zrozumiał rozmowę tylko częściowo.

Przyłożył znów lornetkę do oczu i ze zdziwieniem stwierdził, że mrówki znikły z widocznych części pokładu. Spojrzał w kierunku cienia na dnie okrętu i wydało mu się, że jest on pełen baczych oczu.

Zadecydowano, że „cuberta”, choć wyludniona, nazbyt pełna była mrówek, aby mogli na niej zamieszkać marynarze z kanonierki; należało więc barkę zatopić. Porucznik stanął na przodzie, aby pochwycić i umocować linę, a marynarza w szalupie mieli mu pomagać.

Holroyd z lornetką w ręku przyglądał się barce.

Coraz większe wrażenie wywierała na nim szybka, wzmożona, choć niedostrzegalna działalność owadów. Widział wyraźnie, że większość olbrzymich mrówek — długości dwóch, a nawet trzech cali — ciągnęła dziwaczne przedmioty, o nieznanym kształcie i niepojętym użytku. Posuwały się one drobnymi skokami, trzymając się w cieniu. Na miejscach odsłoniętych nie ustawiały się w kolumny, tylko szły przerywanymi liniami, które w dziwny sposób przypominały formowanie się kawalerii podczas otwartego ognia — Część owadów kryła się pod odzieżą trupa, ale roje całe zebrały się przy burcie, przez którą miał przejść za chwilę da Cunha.

Holroyd nie widział, kiedy napadły one na porucznika, ale miał pewność, że był to atak zorganizowany... Nagle porucznik począł krzyczeć, kląć, tupać nogami. — Ugryzły mnie! — wrzasnął, zwracając twarz o wyrazie nienawiści i oskarżenia w stronę Gerilleau.

Przeskoczył przez burzę, ześlizgnął się z łodzi i skoczył do rzeki. Holroyd usłyszał gwałtowny plusk wody.

Trzej marynarze wciągnęli oficera do szalupy i odwieźli na statek. Też nocy umarł.

III

Holroyd i kapitan wyszli z kabiny, gdzie spoczywało spuchnięte, poskręcane ciało porucznika, i stanęli pod latarnią, patrząc na ponurą barcę.

Noc była ciemna i nieprzenikniona; rozjaśniały ją tylko widmowo błyskające źrenice.

„Cuberta” — niewyraźny, czarny trójkąt — płynęła bruzdą wodną śladem kanonierki, a opuszczone jej żagle trzepotały w powietrzu, a czarny dym z kominów parowca, skrzący iskrami, osnuwał jej chwiejące się maszty.

Myśli Gerilleau powracały co chwila do strasznych słów, które porucznik krzyczał w straszliwej gorączce.

— Powiedział mi, że go zamordowałem — protestował — to jest absurd. Ktoś przecie musiał wejść na barcę. Czy mieliśmy uciekać przed tymi przeklętymi mrówkami, jak tylko się pokazały?...

Holroyd nic nie odpowiedział. Przypominał sobie zorganizowany atak tych drobnych, czarnych stworzeń, wyłaniających się z zalanych słońcem szpar w deskach pokładu.

— Do niego właśnie należało tam pójść — dowodził Gerilleau. — Umarł, pełniąc swoją powinność. Jakież miał powód do skarg? Zamordowany! Ależ ten biedak był zupełnie — jakże to? — pomyłony. Nie był już przy zdrowych umysłach. Takie to działanie trucizny... Hm!

Nastąpiło długie milczenie.

— Trzeba zatopić to czółno — spalić.

— A co potem?

Pytanie to rozgniewało Gerilleau. Wzruszył ramionami i wyrzucił przed siebie rękę, pod kątem, prostym do ciała.

— A co można poradzić? — głos jego zadźwięczał gniewnym dyskantem. — W każdym razie — dodał mściwie — mrówki z tej właśnie „cuberty” — zginą! Spalę je żywcem.

Holroyd nie miał chęci do rozmowy. Dalekie pohukiwania wyjść napelniły noc złowieszczymi dźwiękami, a kiedy kanonierka przybliżyła się do czarnych, tajemniczych ławic — rozległo się przygnębiające rechotanie żab,

— Cóż można poradzić? — powtórzył kapitan po dłuższej przerwie i nagle, stając się czynny, postanowił natychmiast spalić „Santa Rosę”, bez dalszego gadania. Cała załoga była zachwycona tą decyzją; wszyscy prześcigali się w gorliwości; przecięto linę, spuszczone szalupę i poczęto rzucać do „cuberty” pęki kłaków, nasyconych naftą. Barka wkrótce zatrzęszczała i buchnęła wesołym płomieniem, pośród bezmiaru tropikalnej nocy. Holroyd patrzył na żółte języki ognia, walczące z ciemnością, i na blade błyskawice, oświetlające szczyty leśnych drzew.

Mulat, poruszony aż do głębi swoich zasobów lingwistycznych, wykrzyknął:

— Santa robić trak, trak! chuhaha! — i zarżał donośnym śmiechem.

Ale Holroyd myślał o stworzeniach na krytej barce, o stworzeniach, posiadających oczy i mózgi.

Cała ta sprawa wydawała mu się nieprawdopodobną, pomyloną i błędną, ale — co robić?

To zagadnienie wzrosło niepomiernie następnego dnia, kiedy kanonierka zawinęła wreszcie do Badawy,

Okolica — z krytymi zeschłymi listowiem domami i oborami, z młynem do mielenia trzciny cukrowej, owiniętym parzącą się roślinnością, z małą zatoczką, otoczoną krzewami i trzcina — okolica drzemała spokojnie w porannym upale; nie widać było ani śladu człowieka.

Co zaś do mrówek — za małe były, aby z tej odległości dało się je dostrzec,

— Cała ludność zwiwała — oświadczył Gerilleau — ale weźmy się do roboty. Puść pan syrenę, niech gwizdże! I Holroyd począł huczeć i gwizdać.

Tymczasem kapitana ujęły wątpliwości najgorszego rodzaju.

— Możemy robić tylko jedno — powiedział wreszcie.

— Cóż takiego? zapytał Holroyd.

— Nawoływać i gwizdać dalej. Tak też i uczynili.

Kapitan chodził po pokładzie i gestykulował; widać było, że myśli tłoczą mu się w głowie, Z warg jego wyrzywały się niepowiązane słowa. Zdawał się wygłaszać mowę przed jakimś urojonym trybunałem hiszpańskim czy portugalskim. Wprawniejsze obecnie ucho Holroyda odróżniło coś tam na temat amunicji. Nagle kapitan wyraził swoje wątpliwości po angielsku.

— Mój drogi Holroydzie... — zaczął i urwał. — Co można w ogóle na to poradzić?...

Wsiedli do szalupy, zabrali lornetki i pojechali zbadać rzecz na miejscu. Ujrzeni wielkie mrówki, które zdawały im się spokojnie przyglądać z prymitywnej przystani w zatoce.

Gerilleau strzelił do nich kilkakrotnie z pistoletu — bezskutecznie, Holroydowi zdawało się, że odróżnia szczególnego kształtu rowy, biegnące od domu do domu; niewątpliwe dzieło owadów, władających obecnie ludzkimi siedzibami. Podróżni minęli zatokę i ujrzeli z daleka szkielet ludzki z przepaską na biodrach, szkielet gładki, czysty, błyszczący. Zatrzymali się na chwilę, patrząc uważnie,

— Odpowiadam przecież za wszystkie te życia ludzkie — powiedział nagle Gerilleau,

Holroyd odwrócił się i popatrzył na kapitana; zrozumiał dopiero po chwili, że ten ma na myśli załogę kanonierki,

— Posłać oddział na ląd? To niemożliwe... niemożliwe... Zatrują się, zaczną puchnąć i puchnąć, i wymyślać mi, i umierać. To absolutnie niemożliwe! Jeżeli mamy lądować, muszę wylądować sam, sam, w grubych butach i nie dbając o życie. Może mi się uda. Albo... nie lądować. Nie wiem. Nie wiem,

Holroyd pomyślał, że kapitan jednak chyba wie... Ale nie rzekł słowa.

— Całą tę aferę — powiedział nagle Gerilleau — przedsięwzięto tylko po to, żeby mnie

ośmieszyć. Całą aferę!

Opłynęli brzeg, przyglądając się białemu szkieletowi ze wszystkich stron, po czym wrócili na statek.

Niezdecydowanie Gerilleau wzrastało z chwili na chwilę. Puszczono parę i po południu kanonierka popłynęła w górę rzeki, jak gdyby chciała kogoś o coś zapytać. O zachodzie powróciła i zarzuciła kotwicę w tym samym miejscu. Nadeszła wściekła burza, a potem noc stała się rozkosznie chłodna i cicha; wszyscy spali na pokładzie. Wszyscy, prócz Garlileau, który przewracał się i mamrotał. O świcie obudził Holroyda.

— Boże! co się stało?

— Zdecydowałem się — powiedział kapitan.

— Co?..” lądować? — zapytał Holroyd, zrywając się wesoło.

— Nie — odrzekł kapitan, z nagłą rezerwą. — Zdecydowałem się — powtórzył. Holroyd nie mógł powstrzymać gestu zniecierpliwienia.

— Więc... tak! — powiedział nareszcie kapitan Będę strzelał z wielkiej armaty!

Tak też uczynił. Bóg raczy wiedzieć, co myślały sobie o tętn mrówki, ale uczynił, jak powiedział. Dwa razy zakomenderował: — „Ognia!” — z wielką powagą i namaszczeniem. Załoga zatkała sobie uszy watą. Wszystko wyglądało bardzo uroczyście, tylko od pierwszego wystrzału zawalił się stary młyn, a od drugiego — opuszczony skład za przystanią rozpadł się w kawałki. Wtedy Gerilleau przyszedł do nieuniknionego wniosku:

— To na nic! — powiedział Holroydowi — zupełnie na nic. Niema co tu robić. W żaden żywy sposób! Trzeba wracać po instrukcje. Zrobi się z tego wszystkiego diabelny gwałt — przez tę amunicję — ale to diabelny!... Niema pan nawet pojęcia! — Stał przez chwilę, patrząc przed siebie w rozterce, — Ale cóż innego można było zrobić? — zawołał.

Po południu kanonierka popłynęła z prądem, a wieczorem oddział marynarzy pochował

ciało porucznika przy brzegu, w miejscu, dokąd jeszcze nie dotarły mrówki.

IV

Całą tę historię słyszałem fragmentarycznie od Holroyda przed trzema tygodniami. Ten nowy gatunek mrówek zabił mu ćwieka w głowę. Powrócił do Anglii z ideą, że należy „przestrzec ludzi, nim będzie za późno”. Twierdzi, że mrówki poczynają zagrażać Guyanie, która znajduje się nie więcej, niż o tysiąc mil od terenu ich obecnej działalności i że ministerium kolonii powinno zająć się tą sprawą. Holroyd powtarzał namiętnie:

— To są mrówki, obdarzone inteligencją. Zrozumieście, co to znaczy!

Istotnie plaga przedstawia się bardzo groźnie i rząd brazylijski postępuje rozsądnie, wyznaczając nagrodę w kwocie pięciuset franków za niezawodną metodę zwalczania tej klęski. Pewne bowiem, że mrówki pojawiły się po raz pierwszy na wzgórzach w pobliżu Badawy i w ciągu trzech lat dokonały niesłychanych podbojów. Całe południowe pobraże rzeki Batemo, ciągnące się na przestrzeni sześćdziesięciu mil, pozostaje pod ich wyłącznym władaniem. Usunęły wszystkich ludzi, zajęły plantacje i osady, napadły wreszcie i owładnęły jednym ze statków. Powiadają też, że w niepojęty sposób przekroczyły odnogę Capuarany i posunęły się na wiele mil z biegiem Amazonki, Należy wątpić, czy są rzeczywiście rozumiejsze i czy są połączone w społeczeństwa doskonalsze, niż znane nam dotychczas gatunki mrówek; tyle tylko, że nie żyją rozproszone gromadami, lecz zorganizowały się i stworzyły jeden naród; ich specyficzną i efektywną wyższość stanowi sposób, w jaki posługują się jadem wobec wroga. Trucizna ich jest, zdaje się, pokrewna jadowi węży i bardzo prawdopodobne, że owe mrówki wyrabiają ją sztucznie i że większe osobniki noszą jad przy sobie, podczas napadów na ludzi, w formie kłujących kryształków.

Niewątpliwie, niezmiernie trudno jest podać szczegółowe informacje o tych nowych pretendencjach do suwerennego władania kulą ziemską. Żaden ze świadków ich działalności nie uszedł z życiem; posiadamy więc wiadomości, pochodzące z obserwacji niedokładnych,

jak na przykład, Hoiroyda, Najdziwaczniejsze legendy o zdolnościach i sprawności owych mrówek krążą w regionach górnej Amazonki. Urastają one do rozmiarów najokropniejszych najeźdźców, jakich może spłodzić ludzki strach. Wierzę — jeżeli o mnie chodzi — dziwne stworzonka umieją używać narzędzi, ognia i metali z wprawą zawodowych mechaników, przerastając nasze dotychczasowe o nich pojęcia — bo ostatecznie nie znamy możliwości tych Saübas, które na przykład, w 1841 roku, w pobliżu Rio de Janeiro przebiły tunel pod Parahiba, ciągnący się na przestrzeni, większej od szerokości Tamizy pod Londynem. Działają one w myśl opracowanych i dokładnych metod, analogicznych do metod ludzkich. Dotychczas akcja ich zmierza do ekspansji terytorialnej, która wywołuje paniczną ucieczkę lub rzeź ludzi na opanowywanych przez nie przestrzeniach. Rozmnażają się z ogromną szybkością i Holroyd jest nieodparcie przekonany, że mrówki owe wytepią całkowicie ludzi na przestrzeni całej Ameryki Południowej.

Ale czemużby miały poprzestać na Ameryce Południowej?

Jak dotychczas, rozszerzają tam swe podboje. Około 1911 roku albo coś koło tego, jeżeli będą się posuwały z dotychczasową szybkością, opanują Capuarana Extension Kailway (linię kolejową) i narzucą się tym sposobem uwadze europejskich kapitalistów.

Około 1920 roku opanują połowę dorzecza Amazonki. Twierdzę, że w 1950 roku, a najpóźniej w 1960 roku odkryją Europę.

Z MATECZKĄ NA MÖRDERBERGU

Opowiadałem już, zdaje się, jakim dosiadał mego pierwszego aeroplanu, na którym dane mi było pobić pewnego rodzaju rekord w Arozie: spadałem, mianowicie, w ciągu trzech dni kolejno do trzech rozpadlin skalnych. Stało się to, zanim mateczka przyjechała. Od pierwszego spojrzenia zorientowałem się, że jest zmęczona, wyczerpana, zmordowana, więc też, nie chcąc, ażeby poczęła obnosić swoje troski po hotelu, ani żeby dostała się w samo

gniazdo wściekłych plotek, zapakowałem ją i dwa plecaki i powiodłem ją na długą, orzeźwiająca, zupełnie łatwą wycieczkę w kierunku północnym. Dopiero pęcherz na matczynej nodze zmusił nas do wylądowania w „Magenruhe” — hotel na Scheejochu. Z pęcherzem czy bez pęcherza — mateczka chciała iść dalej (nie zdarzyło mi się spotkać w życiu większego zucha od mojej matki) ale ja powiedziałem:

— Nie. Mamy tutaj turystyczne schronisko i to mi się z gruntu podoba i nie tylko z gruntu, ale i z nieba. Będiesz tu mogła siadywać sobie na werandzie z lunetą, a ja po wspinam się trochę na szczyty.

— Tylko bez wypadków — odpowiedziała mi na to.

— Nie mogę obiecać, mateczko — odrzekłem — ale w każdym razie będę pamiętał, że jestem twoim jedynym synem.

Z tym wyruszyłem.

Zbyteczne tłumaczyć, że po upływie paru dni byłem ze wszystkimi turystami w schronisku na stopie wzajemnego traktowania się per „idiota”. Nie znosili mnie po prostu — Nie lubili mojej szyi z wydatną grdyką — byli to bowiem przeważnie ludzie z głowami, wciśniętymi w ramiona — nie podobał im się mój sposób bycia i zadzierania mego lotniczego nosa w kierunku szczytów. Nie odpowiadało im, że jestem jaroszem i że jest mi z tym dobrze, nie podobała się im rdzawa i zielona „iskra” w moim prostym wełnianym garniturze. Wszyscy oni byli z tego zakazanego gatunku ludzi, których nazywam wytwornie sowami — ostrożni, prawomyślni, przeważnie z Oksfordu, solenni, traktowali swoje wspinaczki z namaszczeniem małpy, mierzającej okulary. Rozsądni to byli, z rodzaju tych, co kręcą głowami na temat: „Ja bym się na to nie pisał”. Postępowali zawsze, zgodnie ze wskazówkami podręczników i przewodników i sami się oceniali według ilości odbytych sezonów górskich: jeden miał dziewięć sezonów, inny — dziesięć i tak dalej. Ja byłem nowicjuszem i miałem, według nich,

cierpliwie czekać aż się co i dla mnie okroi,

I to ja! Kpiny!

Siedziałem kiedyś w palarni, pykając fajeczkę z higienicznym tytoniem — ich zdaniem wydzielał on zapach palonego zielska — czekając, aż będę mógł wstawić słowo i przelać nieco światła w ich umysły. Oni tymczasem odsunęli na stronę wzajemne niechęci i połączyli swoje siły, aby mi dać do zrozumienia, jak dalece im się nie podobam.

— Słuchajcie, chłopcy, traktujecie te osławione góry za poważnie — powiedziałem — to jest drobiazg; należy je brać na wesoło.

Spojrzeli na mnie okrągłymi ze zdziwienia oczyma,

— Nie bawi mnie wcale cały uroczysty zamęt, jaki dokoła tego wszystkiego czynicie.

Alpiniści dawnego autoramentu szli w góry z kijem, liną i lekkim sercem. Taki też jest i mój stosunek do tych spraw.

— Ale nie nasz! — powiedział jakiś ugotowany na czerwono bohater wysokogórski, cały w pęcherzach i z łuszczącą się skórą. Powiedział to w sposób, który miał być miażdżący.

— Mój pogląd jest słuszny — powiedziałem pogodnie, wypuszczając kłęb dymu z mojej higienicznej fajki,

— Jak pan będzie miał trochę więcej doświadczenia, osądzi pan trafniej — rzekł inny przywiędły młodzieniec, z małą, szarą bródką,

— Doświadczenie nigdy mnie niczego nie nauczyło — odpowiedziałem.

— To widać — powiedział ktoś i odwrócił się. Przyjąłem to z idealnym spokojem.

— Mam zamiar pójść na Mörderberg, nim stąd wyjadę — rzekłem z flegmą i wywołałem sensację.

— A kiedyż pan wyjeżdża?

— Za tydzień albo coś w tym guście.

— To nie jest wspinaczka, na którą może się ważyć turysta w pierwszym roku —

powiedział łuszczący się jegomość.

— Pan już zupełnie nie ma na to danych.

— Żaden przewodnik z panem nie pójdzie! Zwariowany pomysł.

— Przechwałki.

— Chciałbym widzieć, jak on to zrobi!

Pozwoliłem im kipieć z wściekłości, a kiedy opadli nieco poniżej punktu wrzenia, wtrąciłem:

— Chętnie zabrałbym ze sobą mamą. Jest co prawda, drobna, ale chwalić Boga, wytrzymała, jak stal.

Oni jednak poznali po moim źle ukrytym uśmiechu, że ich prowokuję, więc poprzestali na nieartykułowanych dźwiękach i przyciszonych uwagach, który to gwar przypominał do złudzenia chrząka — nie świń. Wreszcie ucięli małą rozmówkę w półtonach, wyłączając całkowicie moją osobę. Wszystko to wzmocniło jeszcze moje postanowienie. Jestem uparty, jak sobie co wbiję do głowy, więc postanowiłem, że mateczka pójdzie na Mörderberg, gdzie jeszcze nie była polowa tych uroczystych goryli, pójdzie, choćbym miał stamtąd wrócić trupem lub sierotą. Rozmówiłem się z nią następnego dnia. Leżała na werandzie, owinięta w pledy, i patrzyła na szczyty,

— Wygodnie? — zapytałem,

— Bardzo,

— Wypoczywasz?

— Tu jest tak przyjemnie. Podeszedłem do poręczy werandy.

— Spójrz na ten szczyt, mamusiu!

Skinęła beztrosko głową, z wpół przymkniętymi oczyma.

— To jest Mörderberg. Ty i ja będziemy tam pojutrze.

Matka leniwie podniosła powieki.

— Czy tam nie będzie aby bardzo stromo? — zapytała,

— Ja już wszystko doskonale urządzę — powiedziałem, po czym mateczka uśmiechnęła się przyzwalająco i zamknęła oczy.

— No, jeżeli ty to bierzesz na siebie... — odrzekła.

Tegoż dnia zszedłem w dolinę do Daxdam, ażeby zaopatrzyć się na drogę, wynająć przewodników i tragarzy, dzień zaś następny spędziłem powyżej hotelu na trenowaniu się i zapoznawaniu ze skałą i lodowcem. To mi nie przysporzyło popularności. Poślizgnąłem się z lekka dwa razy. Raz mnie zniosło do jakiejś rozpadliny — mam widocznie szczególne szczęście do rozpadlin — i trzech nieznanymi mi turyści, którzy wybrali się na Kinderspitz, wyciągali mnie stamtąd przez półtorej godziny. Drugim razem wypuściłem z ręki czekan wprost na głowy niewielkiej wycieczki, zdążającej na lodowiec Humpi. Czekan przeleciał zresztą w odległości trzydziestu cali od nich i nie dotknął nikogo, ale w ryku, jaki się rozległ po tym drobnym wypadku, mogło się zdawać, że rozwaliłem wspólny łeb całej kompanii. Trudno sobie wyobrazić, jak się oni wszyscy brzydko wyrażali, nie wyłączając trzech pań, należących do wycieczki.

Następnego dnia zorganizowano w hotelu formalny zamach, aby zapobiec naszemu wyruszeniu, Sprowadzono gospodarza, persadowano mojej matce, oczerniono w niedościgniony sposób charakter naszych przewodników. Brat gospodarza wrzeszczał głośniejsz od innych:

— Dwa lata temu — twierdził — zatracili gdzieś swego turystę.

— To jeszcze nie powód — odrzekłem — abyś pan teraz tracił głowę.

W rezultacie — zapomniał języka w gębie. Nie był dotychczas przyzwyczajony do gry

słów i mój kalambur stanął mu kością w gardle.

Potem przyszedł łuszczący się gentleman i próbował zbadać nasz ekwipunek:

— Czyście wzięli to?... — pytał. — Czyście wzięli tamto?...

— Dwóch rzeczy nie zapomnieliśmy — powiedziałem ostro, przyglądając się uważnie jego nosowi — niebieskich woalek i — wazeliny.

Dotychczas doskonale pamiętam chwilę naszego wyruszenia. Była tam przełęczka, położona o parę — set stóp poniżej hotelu, i hotel — cały w splendorze nazwy swojej — stojący na wielkiej, posępnej, skalistej wyżynie, wprost ciężkiego zwału zielonych, uwarstwionych skał, popstrzonych tu i tam połączeniami śniegu i ciemnymi plamami rododendronów, skał, wznoszących się na tysiące stóp w kierunku zachodniej krawędzi łańcucha górskiego. Ścieżka biegła przed nami wśród głazów, przeskoczyła po kamieniach przez rzeczkę, a następnie skierowała się do góry, wzdłuż strumienia, poprzez lodowiec Magenruhe. Tam przeszliśmy przez skałki na lewo i potem po pochyłości lodowej dostaliśmy się na wąską półkę, wiszącą nad przepaścią na zachodnim zboczu. Był świt, słońce tylko co wzeszło i wszystko dokoła nas było zimne, błękitne i ogromne. Turyści w komplecie wyszli z hotelu, aby nam ucisnąć dłoń na odchodnym — niektóre negliże nie odznaczały się pięknnością — i stali milczącą gromadą, czekając aż ruszymy. Ostatnie słowa, które mnie doszły, były:

— Wrócą z powrotem!

— Ależ, naturalnie, wrócimy — odrzekłem. — Niema obawy!

I takeśmy poszli w swoją drogę. Chłodni, rozważni, wzdłuż strumienia, wyżej i wyżej, poprzez urwiste pola śnieżne i lodowe przełęcze Mörderbergu, Pamiętam, że szliśmy czas pewien w zupełnym milczeniu, aż nagle cały kraj zajaśniał od słońca i w jednej chwili jak gdyby odtajały nam języki, poczęliśmy rażno niemi obracać.

Miałem ze sobą jedną czy dwie rzeczy, których nie pokazałem turystom w schronisku, podobnie jak nie trzymałem się wyjaśnianiem, czemu zabieram pięciu tragarzy dla noszenia ładunku, któremu podołałoby bez mała dwóch. Ale, kiedyśmy doszli do lodowca, pokazałem, co potrafię, i wyciągnąłem mocny, sznurkowy hamak dla matki. Ułożyliśmy ją wygodnie, zaszyliśmy kilkoma ściegami w kołdrę wełnianą, po czym uwiązaliśmy się wszyscy liną: przewodnicy — na końcu i na początku pochodu, ja — przedostatni, a mama — w środku, niesiona przez dwóch tragarzy. Przełknąłem swój kij alpejski przez dwa otwory, które zrobiłem w kurtce pod plecakiem, tak, że ciało moje przybrało kształt litery „T”; w ten sposób, wpadając do rozpadliny, co mi się przytrafiało zawsze i wszędzie, opierałem się kijem o brzegi i wydostawałem się na zewnątrz z łatwością, gdy naciągnięto linę. Tak więc szliśmy w górę bez przygód, jeżeli nie liczyć jednego czy dwóch guzów, które pobudziły tylko mamę do śmiechu.

Doszliśmy wreszcie do stromej skały, wymagającej poważniejszego namysłu.

Trawersowaliśmy z gzymsów na półki skalne, jak się dało, i tutaj mateczka okazała się prawdziwym darem bożym. Przerzuciwszy ją przez większą szczelinę — zapomniałem jak to się nazywa — która się tworzy między lodowcem i skałą, rozpakowaliśmy mamę z pledów.

Kiedyśmy podchodzili do nowej półki, leżącej nie dalej, niż o osiem stóp od tej, na której żeśmy stali, dwaj przewodnicy podrzucili mateczkę do góry (tak była lekka). Stojąc już mocno na tamym gzymsie, mateczka podawała nogę następnemu, który chwycił za nią i wciągał się do góry. W rezultacie mama twierdziła, żeśmy jej naderwali kolano, co ją i mnie pobudziło do wybuchów tak szalonego śmiechu, że reszta wycieczki musiała się zatrzymać.

Ta mała wspinaczka była zdrowo męcząca — dwie godziny upłynęły, nimeśmy doszli do grani, usianej tam i sam wielkimi głazami.

— Gorzej będzie ze schodzeniem — powiedział starszy przewodnik.

Spojrzałem za siebie i z początku—muszę się przyznać—doznałem zawrotu głowy. Widać było lodowiec, tak maleńki w oddaleniu, i czarną, ziejącą szczyrbę między nim i skałą.

Przez pewien czas było naprawdę przyjemnie iść wzwyż skalną granią; nic wówczas nie zaszło godnego uwagi, jeżeli nie liczyć narzekań jednego z tragarzy, któremu strąciłem na nogę kamień — Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą” — odpowiedziałem.

Tragarz udał, że nie słyszy, i kiedym strącił drugi kamień, wybuchnął długą, płaczliwą przemową, w języku, który on sam, najwidoczniej, uważał za niemiecki — ja zaś nie mogłem w nim dojść ładu ani składu,

— On powiada, że mogłeś go zabić—zauważyła mateczka.

— Tak powiada?—odparłem.—Więc cóż takiego? Niech sobie mówi.

Byłem za tym, żeby się zatrzymać i dać mu się napchać jedzeniem, ale starszy przewodnik się nie zgodził.

— Straciliśmy już dosyć czasu — twierdził — a droga po przeciwnym uboczu góry będzie groziła lawinami, gdy słońce się podniesie.

Poszliśmy więc dalej. Kiedyśmy okrążali grzbiet skalny, obejrzałem się w stronę hotelu — był, jak mała, podłużna plamka — i machnąłem szyderczo pod adresem lego, który w tej chwili mógł patrzeć na nas przez lunetę.

Idąc dalej, poruszyliśmy lawinę, co pobudziło naszego ostatniego przewodnika do głośnej modlitwy, aleśmy nic nie oberwali, prócz kilku płatów śniegu. Reszta przeszła w odległości paru jardów poza nami. Wisieliśmy właśnie na skale; gdy lawina znikła w dole poczęliśmy znowu się wspinać, podpierani przez tragarzy, po stopniach, które wyrąbywał w lodzie pierwszy przewodnik. Lawina była bardzo wspaniała, póki żeśmy jej nie zobaczyli z bliska; póki huczała i grzmiała nad naszymi głowami i wywoływała groźne echo w błękitnych głębiach skał; jednakże z bliska przedstawiła się jak najprozaiczniej — większość kamieni

była mniejsza ode mnie.

— Wszystko w porządku?—zapytał przewodnik.

— W porządku—odparłem.

— Mam nadzieję, że jest bezpiecznie, mój drogi?—zapytała mateczka.

— Bezpiecznie, jak na Trafalgar Square — odrzekłem. — Hop do góry, matczynku!

Co też ona uczyniła z niezwykłą zręcznością.

Trawers wyprowadził nas wreszcie na wieczne śniegi i tam też urządziliśmy postój—byliśmy oboje okropnie radzi i ze śniadania, i z wypoczynku. Tymczasem wynikł zatarg z przewodnikami i tragarzami. Byli już uprzednio nieco rozgniewani moim ożywionym marszem ze spuszczeniem w dół kamieni, a teraz narobili strasznego hałasu, że zabrałem ze sobą, zamiast wódki, rodzaj bezalkoholowej imbirówki. Żeby to chcieli przynajmniej spróbować! Nawet się nie ‘zaczytało. Wynikła osobliwa dysputa, dziwnie brzmiąca w tym rozrzedzonym powietrzu, o wartościach odżywczych pewnych potraw i o korzyściach smarowania chleba masłem kokosowym. Ludzie ci uparcie obstawali przy skażonym szkodliwym odżywianiu. Żądali mięsa, żądali alkoholu domagali się narkotyków do palenia. Zdawałoby się, że górale, żyjący w stałym zetknięciu z naturą będą chcieli pożywienia naturalnego: protozy, płochozy; dygestyny i witaminy. Nigdy w życiu! Oni właśnie pragnęli wynaturzenia. Kiedym mówił o picciu czystej wody, jeden z tragarzy splunął ostentacyjnie i symbolicznie do przepaści. Od tej chwili wycieczka odbywała się pod znakiem niezadowolenia.

Ruszyliśmy coś około pół do jedenastej, po nieudanym wysiłku pierwszego przewodnika, aby zawrócić nas z powrotem. Mieliśmy przed sobą to, co się pospolicie nazywa najtrudniejszą partią wejścia na Mörderberg — krawędź, prowadzącą w górę do półśniegowych, poniżej szczytowego grzebienia. Ale tutaj dostaliśmy się w ciąg ciepłego

powietrza, wiejącego od południowego zachodu, i wszystko działo się, jak twierdził przewodnik, niezwykle. Zazwyczaj krawędź pokryta jest lodem, przylegającym szczelnie do skały. Dzisiaj było tam miękko i mokro; nogi zagłębiały się po kostki i z łatwością można było wyczuć pod butami skałę.

— Stąd właśnie spadła wycieczka pana Tomlinsona — powiedział jeden z tragarzy, kiedyśmy już od jakich dziesięciu minut zaufali tej krawędzi.

— Są tacy, którzy potrafią spaść z łóżka — odrzekłem.

— To wszystko zamarznie, nim wrócimy — rzekł drugi przewodnik — a my nie będziemy mieli nic w żołądku, poza tym przeklętym imbirem.

— Naciągnijcie lepiej linę — odpowiedziałem.

Jakaś przyjacielska listwa skalna okazała się maceczce szczególnie pomocną, właśnie w chwili, gdy zaczęła poddawać się zmęczeniu, więc zaczepiliśmy ją znowu i poczęliśmy pieczołowicie ciągnąć w górę. Trochę się przy tym potłukła o skały, od czasu do czasu zawisała nad przepaścią, kołysząc się zwolna na sznurach.

— Mój drogi — zapytała z początku — czy nie zaszkodzi mi to wszystko, co się tu dzieje?

— Ależ skąd?! — odrzekłem — gdybyś tylko mogła w tej chwili znaleźć sobie jakie oparcie dla nóg.

— Jesteś pewien, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, kochanie?

— Ani krztyny!

— I czy ja was nie męczę?

— Przeciwnie, jesteś dla nas bodźcem.

— Widok — dodała — staje się, naprawdę, coraz piękniejszy.

Ale widok właśnie się zaćmił i znaleźliśmy się i w chmurach, w ostrej, kłującej zadymce śnieżnej. Przybyliśmy około pół do pierwszej na górne pole śnieżne, gdzie śnieg okazał się

niezwykle puszysty. Starszy przewodnik zapadł się aż po pachy.

— Trzeba tu udawać żabę — powiedziałem i sam zacząłem rozgarniać śnieg w pozycji, jak do pływania. Tak radziłem sobie w ciągu całej drogi grzędy i wzdłuż niej. Posuwaliśmy się naprzód drobnymi skokami, zatrzymując się dla złapania tchu. Mateczkę ciągnęliśmy w hamaku. Czasem śnieg był tak twardy, żeśmy doskonale mogli stąpać po powierzchni; czasem jednak okazywał się odtajały od spodu, żeśmy się zapadali i przewracali. Szedłem za blisko śnieżnej krawędzi, która załamała się przede mną, ale lina mnie uratowała. Osiągnęliśmy wierzchołek około trzeciej godziny bez dalszych przygód. Wierzchołek okazał się oczywiście gołą skałą z kupą kamieni i wetkniętą w nie żerdzią. Nie było tam żywej duszy. Zadymka i mgła zniknęły, słońce paliło mocno, a myśmy stali w górze, jakby pilnując całej Szwajcarii. Hotel „Magenruhe” mieliśmy pod nogami, zakrywały go po prostu nasze podbródki.

Przycupnęliśmy na kamieniach i przewodniczący, oraz tragarze znów musieli poprzestać na imbirówce i jarskich butersznytach. Ja tymczasem wycinałem i wydrapywałem napis, głoszący, że wszedłem na skałę, odżywiając się higienicznie i zauważyłem trafnie, że w tej dziedzinie osiągnął rekord, który mi trzeba przyznać. Widok na pola śnieżne, leżące z północno-wschodniej strony zbocza, był niezmiernie pociągający, zapytałem też głównego przewodnika, czemu nie praktykuje się tego wejścia. Zaczął mi mówić coś o przepaściach w swoim szczególnym, jakoby niemieckim języku.

Dotychczas wejście nasze odbywało się bardzo porządnie, choć w tempie raczej powolnym. Dopiero przy schodzeniu zdobyliśmy się na nieprzewidzianą oryginalność. Nie chciałem ciągnąć z powrotem liny poprzez górne złoża śnieżne, gdyż ręce i nogi mateczki były zimne; poleciłem jej, aby poskakała trochę dla rozgrzewki. Nagle, zanim zdążyłem czemukolwiek zapobiec, matka poślizgnęła się i potoczyła w dół po pochyłości, torując sobie drogę aż do owej osławionej przepaści.

Nie upłynęła chwila, kiedy pomknąłem za nią z podniesionym czekaniem, ślizgając się po śniegu. Nie zdaję sobie sprawy, jak właściwie miałem zamiar postąpić, ale przywidziało mi się, że trzeba ją przegonić i zahamować.

W każdym razie, nic z tego mi się nie udało... Po dwudziestu sekundach przewróciłem się i poleciałem w dół na siedząco, nie kontrolując więcej swoich ruchów.

Największe odkrycia są dziełem przypadku i twierdzę, że w owej chwili, zarówno ja, jak mateczka, wynaleźliśmy dwa różne i całkowicie nowe sposoby schodzenia ze szczytów.

Potrzebna jest do tego przede wszystkim pochyłość, pokryta śniegiem, na podłożu lodowym, . śniegiem miękkim i sypkim; dalej — przepaść, do której spada ośnieżone zbocze, o nachyleniu gwałtownym początkowo, a potem mniej stromym; i znów — zbocza, i znów przepaści, ile dusza zapragnie. Wszystko to powinno kończyć się polem śniegu albo lodowcem nie nazbyt spękanym, albo wreszcie terenem, rozsądnie pochylonym, nie przeładowanym nadmiernie skałami. Wtedy rzecz się staje prosta, jak zjeżdżanie z górki na saneczkach.

Mateczka obrała metodę zjeżdżania na boku. Toczyła się po prostu w ciągu pół minuty, śnieg był lepki, zamieniła się mateczka na śliczną kulę śnieżną, która mogła stanowić jądro najbardziej imponującej lawiny. Cała masa śniegu leciała przed nią — i to właśnie było istotą obydwóch metod, zarówno jej, jak i mojej. Chodzi o to, aby spadać na śnieg, a nie żeby śnieg spadał na nas, co grozi zmiżdżeniem. Ważne jest też, aby się nie mieszać za bardzo z lecącymi kamieniami.

Co się mnie tyczy, zjeżdżałem nogami naprzód, trochę na kształt pługu śnieżnego; wolniej, niż mateczka, z mniejszym wdziękiem, ale z większą za to dystynkcją. Mogłem też więcej widzieć. Ale co za wściekły pęd! Gardło mi się ścisnęło, kiedy nagle zobaczyłem, jak mateczka podskoczyła w powietrzu i znikła za krawędzią.

Zlatywałem po zboczach, jak na oszalałych sankach, a kiedym się znalazł z kolei na brzegu przepaści, wszystko stało się, jak we śnie. Sądziłem zawsze, że uczucie spadania musi być okropne. Ani trochę! Spędziłbym tak chętnie parę tygodni, zawieszony w powietrzu, otoczony chmurą i zawieją śniegu. Wielka była moja pogoda ducha w tej chwili. Zdawało mi się, co prawda, że właściwie już się zabiłem, ale to nie miało znaczenia. Nie czułem przerażenia — nic podobnego! — nawet nie było mi niewygodnie. Paf! Uderzenie, skok w powietrzu — i już mi się zdawało, że się rozleciałem na kawałki. Nigdy w życiu! Spadliśmy po prostu na niższe pole śnieżne i to pod kątem ostrym, co osłabiło siłę uderzenia, I znów zaczęliśmy zjeżdżać. Od tej chwili niewiele już widziałem, gdyż miałam pełno śniegu dookoła głowy. Zachowałem pozycję siedzącą, z nogami na przodzie. Zwalniałem, przyśpieszałem biegu kilkakrotnie; odskakiwałem, odbijałem się tak długo, aż wreszcie zaznałem spokoju. Tym razem byłem zupełnie zagrzebany w śniegu, przekręcony na bok, z przygniecionym prawym ramieniem. Przez chwilę byłem rad z tego bezruchu; ale nagle zaniepokoiłem się, co się stało z mateczką, i usiadłem, chcąc wyswobodzić się ze śniegu. Zadanie nie było tak łatwe, jakby się mogło zdawać. Śnieg spiętrzył się dookoła mnie, pełen dziur, jak olbrzyma gąbka; złościłem się, walczyłem i kłamię tak długo, aż się wygrzebałem. Wypelnzawszy na zewnątrz, znalazłem się na brzegu wielkich złoży śnieżnych, należących do górnej części lodowca Magenruhe, Z daleka w górze ujrzałem mały, czarny punkcik, podobny do chrabąszcza, szamoczący się w środku ogromnej, rozwalonej na połowy, kuli śnieżnej. Przyłożyłem ręce do ust i zmanifestowałem własną wersję jodłowania. Mateczka w odpowiedzi zamachała ręką.

Zużyłem dwadzieścia minut na dojście do niej, gdyż znając swą słabą stronę, unikałem starannie rozpadlin. Kiedy już podszedł blisko, spostrzegłem, że twarz mateczki wyraża niepokój.

— Co się stało z przewodnikami? — zapytała.

— Mają plecaki, muszą więc wrócić inną drogą — odrzekłem. — Jak ci się podobało zejście?

— Nie bardzo — zauważyła — ale mam nadzieję, że się przyzwyczaję. Którędy teraz pójdziemy?

Zadecydowałem, że trzeba poszukać grobli śnieżnej przez bergschrunde — oto słowo, którego poprzednio zapomniałem — i w ten sposób przejść na skały od wschodniej strony lodowca. Stamtąd bez dalszych przygód zeszliśmy do hotelu...

Nasz powrót wywołał tak silny wybuch zazdrości i niechęci, jakiego nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Przede wszystkim usiłowano nam wmówić, żeśmy wcale nie byli na szczycie, ale mateczka wyniosłym głosem położyła kres tej zniewadze. Mieliśmy nadto świadectwo przewodników i tragarzy. Kiedy nas o nich zapytano, wyjaśniłem:

— Oni postępują w myśl waszych metod. Mam nadzieję, że będą tu jutro rano.

To oświadczenie zupełnie się nie spodobało.

Żądałem, aby uznano, że pobiłem rekord. Jednakże metody moje zdyskwalifikowano, jako niedozwolone. Nalegałem:

— A jeżeli nawet uważam za stosowne użytkować lawinę dla rychlejszego powrotu, to co wam do tego? Zapewnialiście z początku, że ani ja, ani mateczka, nie potrafimy wejść na szczyt tej diabelskiej góry, a kiedyśmy tego dokazali, wymyślacie tysiąc prawideł, ażeby nas zdyskwalifikować? Może jeszcze zabronicie zjeżdzać po lodzie. Pobiłem rekord! dobrze wiecie, że pobiłem rekord i dlatego właśnie się kwasicie. Faktem jest, że wy, alpiniści, nie macie pojęcia o waszym głupim rzemiośle. Macie tu dobry, szybki sposób schodzenia z gór, sposób, który powinien wam być znany — —

Mieliście tysiąc szans przeciw jednej, że się zabijecie.

Nonsens! To jest najlepszy sposób zejścia dla każdego, kto nie ma zakutej głowy.

Powinniście się ćwiczyć w spadaniu z wielkich wysokości po śniegu. Nic łatwiejszego i bezpieczniejszego, jeżeli umiejętnie wziąć się do rzeczy.

— Posłuchaj, młodzieńcze — rzekł podstarzały młokos ze szpakowatą bródką — nie zdajesz sobie sprawy, że zarówno ty, jak ta pani, uszliście cało tylko cudem...

— Teorie! — przerwałem, — Zastanawiam się w ogóle, po co wy przyjeżdżacie do Szwajcarii. Gdybym był taki, jak wy, wymyśliłbym teoretyczne góry, jako nowy rodzaj gry towarzyskiej, i grałbym w nie na punkty. Ale jesteś już zmęczoną, mateczko. Czas najwyższy, żebyś zjadła trochę gorącej zupy i poszła do łóżka. Nie pozwolę ci wstać przed upływem trzydziestu sześciu godzin.

Swoją drogą, to ciekawe, jak ludzie nie znoszą najmniejszej oryginalności.

KRYSTAŁOWE JAJKO

Mniej więcej przed rokiem, znajdował się przy ulicy Seren Dials mały i obskurny sklepik, nad którym widniał zniszczony napis: „C, Care — Naturalista i Antykwariusz”. Zawartość witryny sklepowej była szczególnie urozmaicona. Leżały tam kły słoniowe i zdekompletowane szachy, paciorki i broń przeróżna, pudełko ze szklanymi oczami, dwie czaszki tygrysie i jedna ludzka, kilka wypchanych małp, nadjedzonych przez mole (jedna z nich trzymała lampę), staroświecka szafka, jajko strusie, popstrzone przez muchy, kilka wędek i niesłychanie brudne, puste akwarium. Leżał tam także, w chwili, gdy się ta historia zaczyna, kawał kryształu, utoczonego w kształcie jajka i gładko wypolerowanego.

Przed witryną sklepową stało właśnie dwóch mężczyzn — długi, chudy ksiądz i młodzieniec o czarnej brodzie, ponurym wyglądzie i zniszczonym ubraniu — Ponury młodzieniec mówił coś, gestykulując gwałtownie, i zdawał się namawiać gorąco swego

towarzysza do kupna kryształu.

Kiedy tak stali, mister Care wszedł do sklepu, żując chleb z masłem. Stracił kontenans, zobaczywszy dwóch mężczyzn i przedmiot ich uwagi. Spojrzał podejrzliwie przez ramię i cicho zamknął za sobą drzwi. Był to mały człowieczek, o bladej twarzy i dziwnych wodnisto-niebieskich oczach; włosy jego były brudno — szare; nosił obszarpany, granatowy tuzurek, staroświecki, jedwabny kapelusz i przydeptane, pluszowe pantofle. Przyglądał się bacznie rozmawiającym mężczyznom. Ksiądz sięgnął do kieszeni, zbadął zawartość swego portfela i ukazał zęby w miłym uśmiechu. Mister Care wydawał się bardzo przygnębiony, gdy weszli do sklepu. O Ksiądz bez większych ceremonii zapytał o cenę kryształowego jajka. Pan Care zerknął nerwowo w stronę drzwi, prowadzących do jego prywatnej bawialni, i powiedział: — „Pięć funtów”, — Ksiądz zaprotestował przeciwko tej wygórowanej cenie, zwracając się zarówno do pana Care, jak i do swego towarzysza — i rzeczywiście, cena była o wiele wyższa, niż zamierzał ongiś żądać mister Care — poczęli się więc targować, Care podszedł do drzwi sklepowych i otworzył je na rozcież.

— Moja cena jest pięć funtów — powtórzył stanowczo, jakby chcąc uniknąć nużącej i jałowej dyskusji.

Kiedy to mówił, w oszklonej części drzwi, prowadzących do bawialni, ukazała się górna część twarzy kobiecej, zwróconej z ciekawością w stronę klientów,

— Moja cena jest pięć funtów — powtórzył mister Care z drzeniem w głosie.

Smagły młodzieniec przyglądał się surowo panu Care, nie biorąc udziału w dyskusji,

Nagle powiedział:

— Daj mu pięć funtów.

Ksiądz spojrzał na niego, chcąc się przekonać, czy mówi poważnie, a kiedy zwrócił znów spojrzenie na pana Care, ujrzał, że twarz kupca biała była, jak płótno.

— To jest kawał grosza — rzekł ksiądz i sięgnąwszy do kieszeni, począł obliczać swoje kapitały.

Miał nieco więcej, niż trzydzieści szylingów, więc zwrócił się do swego towarzysza, z którym, jak było widoczne, łączyła go wielka zażyłość. To pozwoliło mister Care zebrać myśli i po chwili wyjaśnić gorączkowo, że ten kryształ, właściwie, nie jest do sprzedania.

Dwaj klienci wyrazili, oczywiście, zdumienie, że nie pomyślał o tym przed rozpoczęciem targu. Mister Care zmieszał się i począł się wykręcać, mówiąc, że w ciągu tego popołudnia nie może sprzedać kryształu, gdyż ma się poń zgłosić amator, który oglądał go uprzednio.

Dwaj klienci, uważając te słowa za wybieg dla podbicia ceny, udali, że chcą wyjść ze sklepu. Ale w tej cywili otworzyły się drzwi, prowadzące do bawialni, i ukazała się zebrany właścicielka ciemnych włosów i małych oczu.

Była to gruba ciosana, korpulentna kobieta, młodsza i o wiele szersza od pana Care; stąpała ciężko, a twarz jej płonęła.

— Ten kryształ jest do sprzedania — powiedziała — a pięć funtów jest ceną dostateczną.

Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Care, że nie chcesz się porozumieć z panami.

Care, bardzo zmieszany tym nagłym pojawieniem się, rzucił żonie gniewne spojrzenie z ponad okularów i niezbyt pewnym tonem zaproponował, aby pozwoliła mu załatwiać interesy, jak sam uzna za stosowne. Rozpoczęła się kłótnia. Dwaj klienci przyglądali się tej scenie z ciekawością i pewnym rozbawieniem, podżegając panią Care w chwilach stosownych. Mister Care uparcie obstawał przy swojej mglistej i nieprawdopodobnej historii o uprzednim kliencie, a jego podniecenie stawało się niemal bolesne. Opierał się jednak z niesłabnącą energią. Dopiero młody Azjata położył kres, temu szczególnemu zatargowi.

Zaproponował, że zgłosi się wraz z przyjacielem za dwa dni, ażeby pozostawić jak najwięcej możliwości wspomnianemu poprzednikowi.

— I musimy zaznaczyć — zapowiedział duchowny — że pięć funtów! — ani grosza więcej!

Pani Care poczęła usprawiedliwiać męża, tłumacząc, że jest on „trochę pomyłony”. Kiedy dwaj klienci, odeszli, małżeństwo rozpoczęło zażartą dyskusję na temat całego zajścia.

Pani Care wsiadła na męża. Biedaczysko, drżąc cały za wzruszenia, płacząc się w swoich historiach, twierdził, z jednej strony, że ma innego klienta na oku, z drugiej zaś że kryształ wart jest uczciwie dziesięć gwinei.

— Więc dlaczegoż zażądałeś pięciu funtów? — zapytała żona.

— Pozwól mi nareszcie załatwiać sprawy po swojemu — odrzekł z gniewem mąż.

Mister Care mieszkał z żoną, pasierbem i pasierbicą. Tegoż wieczora, przy kolacji, poruszono znów sprawę sprzedaży kryształowego jajka. Nikt z rodziny nie miał przesadnego wyobrażenia o zdolnościach handlowych pana Care, ale to, co się dziś zdarzyło, poczytano mu za nieprzebaczone szaleństwo.

— Według mnie, on w ogóle nie ma zamiaru sprzedać tego kryształu — powiedział pasierb, osiemnastoletni, długonogi drągal.

— Ale pięć funtów — odrzekła pasierbica, zasobna w rozsądek osoba, lat dwudziestu sześciu.

Mister Care warnie się bronił; bąkał tylko słabe zapewnienia, że sam zna się dobrze na swoich interesach. Kazano mu zresztą wkrótce oderwać się od niedojedzonej kolacji i zamknąć sklep na noc; poszedł więc z płonącymi uszami, a łzy rozdrażnienia zamgliły mu okulary.

...I po cóż było kłaść kryształ w oknie? Wariat jestem!

Ta myśl prześladowała go nieodparcie. Zdawało mu się, że nie potrafi znaleźć sposobu, aby uniknąć sprzedaży.

Po kolacji pasierb i pasierbica wyszli, docinając sobie wzajemnie, a żona udała się do sypialni, aby porozmyślać nad wartością handlową kryształu, posilając się przy tym odrobinką ponczu. Mister Care został w sklepie i zajął się ostentacyjnie układaniem malowniczych skał w akwarium dla złotych rybek; w rzeczywistości chodziło mu o coś innego, co wyjaśni się w dalszym toku opowiadania. Następnego dnia pani Care spostrzegła, że jajko wyjęto z witryny i że leży ono obecnie poza kilkoma mało ważnymi książkami o łowieniu ryb. Wobec tego położyła je znów w miejscu widocznym, Nie udało się jej jednak przeprowadzić obszerniejszej dyskusji na ten temat, gdyż silny ból głowy zniechęcił ją do dalszych rozważań, I Care był również bardzo niezadowolony. Dzień upłynął nieprzyjemnie. Mister Care był bardziej roztargniony, niż zazwyczaj, a przy tym niezwykle rozdrażniony. Po południu, kiedy jego żona ucięła zwykłą drzemkę, wyjął znowu jajko z witryny.

Następnego dnia mister Care musiał dostarczyć do jednego z prosektoriów szpitalnych psa morskiego, który potrzebny był do sekcji, W jego nieobecności myśl pani Care skierowała się znowu do kryształowej kuli i do sposobów odstąpienia jej w zamian za upatrzone pięć funtów. Przewidywała już kilka zachwycających sprawunków, między innymi zieloną jedwabną suknię, i przemyśliwała o wycieczce do Richmond, kiedy dzwonek przy drzwiach wejściowych wywołał ją do sklepu. Klientem był asystent z uniwersytetu, który przyszedł z wymówkami za niedostarczenie w określonym terminie pewnych żab do laboratorium. Pani Care ze swej strony nie popierała tej branży mężowskich interesów. Młodzieniec, który mówił z początku podniesionym głosem, stał się grzeczniejszy w końcu i wycofał się po krótkiej wymianie słów.

Pani Care skierowała, oczywiście, wzrok w stronę okna; widok bowiem kryształu umacniał ją w nadziejach na pięć funtów i na realizację marzeń. Jakież było jej zdumienie, gdy okazało się, że kryształ znikł,

Podeszła do szafy, za którą znalazła go dnia poprzedniego. Tam go nie było; rozpoczęła więc natychmiast skwapliwe poszukiwania po całym sklepie.

Kiedy mister Care powrócił z psem morskim po załatwieniu sprawy, raniej więcej przed drugą po południu, znalazł sklep swój przewrócony do góry nogami, a żonę, zrozpaczoną, na kolanach za ladą sklepową, grzebiącą w utensyliach, służących do wypychania zwierząt.

Twarz jej, rozpalona i gniewna, wyłoniła się z za kontuaru, kiedy odgłos dzwonka oznajmił przybycie męża. Natychmiast poczęła go oskarżać, że „zwędził”.

— Co zwędziłem? — zapytał mister Care.

— Kryształ?!

Wtedy mister Care, jakoby ogromnie zdziwiony, rzucił się do okna.

— Niema go tam?! — zawołał — Wielki Boże! gdzież się mógł podziać?!

Właśnie wszedł do sklepu pasierb pana Care i począł kłąć bez litości. Był on praktykantem w pobliskim drugorzędnym składzie mebli, ale stołował się w domu: rozżłościł się, oczywiście, że obiad nie jest gotów.

Ale kiedy usłyszał, że kryształ zginął, zapomniał o posiłku i gniew jego przeniósł się z matki na ojczyma. Pierwszą jego myślą było, oczywiście, że ten ściągnął jajko cichaczem.

Ale mister Care energicznie zaprzeczył, jakoby cośkolwiek widział w tym względzie; zarzekał się i przysięgał, a wreszcie posunął się do oskarżenia żony, a potem pasierba, że przywłaszczyli sobie kryształ, chcąc go sprzedaż na własną rękę. Rozpoczęła się szczególnie zgryźliwa i burzliwa awantura; w rezultacie pani Care dostała ataku histerycznego z wściekłości, a pasierb spóźnił się o pół godziny do swego składu mebli. Mister Care znalazł w sklepie ucieczkę przed nadmiernymi emocjami swojej żony.

Wieczorem pod przewodnictwem pasierbicy rozważyło się rzecz całą z mniejszą złością i w duchu krytycznym. Kolacja przeszła w naprężeniu i zakończyła się przykrą sceną. Mister

Care wpadł w ostateczne zniecierpliwienie i wyszedł, trzaskając gwałtownie drzwiami.

Pozostali wypowiedzieli swoje zdanie o głowie rodziny ze swobodą, której sprzyjała jego nieobecność, a potem przetrząsnęli dom od piwnic do strychu, spodziewając się wyjaśnić tajemnicze zniknięcie kryształu.

Następnego dnia zgłosili się dwaj klienci, Powitała ich pani Care we łzach. Zionął z niej żal. W niepowiązanych słowach mówiła, że nie można sobie wyobrazić, co wszystko musiała znosić od Care'a w ciągu różnych etapów ich małżeńskiej pielgrzymki. Zdała przy tym dokładnie sprawę z niepojętego zniknięcia przedmiotu. Duchowny i Azjata uśmiechnęli się milcząco do siebie i uznali, że wszystko to jest bardzo niezwykle. Skierowali się do wyjścia, kiedy pani Care okazała gotowość opowiedzenia im w całości historii swego życia. Pani Care, nie tracąc nadziei, zapytała duchownego o adres, ażeby, jeżeli uda się jej wydobyć co z męża, mogła natychmiast o tym zawiadomić klientów. Podano jej dokładny adres, ale najwidoczniej gdzieś się potem zarzucił. Pani Care zaś nie mogła go sobie przypomnieć.

Wieczorem tegoż dnia rodzina Care'ów wyczerpała zasób swoich emocji i mister Care, który był poza domem całe popołudnie, jadł kolację w ponurem odosobnieniu, kontrastującym żywo z namiętnymi kłótniami dnia poprzedniego. Przez pewien czas stosunki były mocno naprężone w domu Care'ów; ale ani kryształ, ani klienci więcej się nie pojawili. A teraz musimy powiedzieć z całą otwartością, że mister Care kłamał. Wiedział doskonale, gdzie znajdował się kryształ. Był on mianowicie w mieszkaniu Jakóba Wace, asystenta — demonstratora przy szpitalu Ś—tej Katarzyny, przy ulicy Westburne. Leżał tam w kredensie, owinięty w czarny welwet, koło flaszki amerykańskiej whisky. Właśnie od pana Wace wywodzą się szczegóły, na których osnute jest niniejsze opowiadanie. Care schował jajko do pudła, w którym spoczywał pies morski, przyniósł do szpitala i poprosił młodego uczonego o przechowanie kryształu. Mister Wace był z początku nastrojony nieco podejrzliwie. Jego

stosunki z Care'em były szczególnej natury. Uczony miał specjalne zamiłowanie do dziwaków, więc też kilkakrotnie zapraszał do siebie starego naturalistę na fajkę i kieliszek. Przysłuchiwał się jego zabawnym poglądom na życie w ogóle, a na własną żonę, w szczególności. Mister Wace widywał czasami panią Care, gdy nic zastawał jej męża w domu. Wiedział, że biedny Care podlegał nieustannej kontroli i rozważywszy rzecz gruntownie, postanowił dać schronienie kryształowi. Mister Care obiecał później wytłumaczyć asystentowi powody swego niezwyklego przywiązania do tego przedmiotu, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że dzięki temu, miewa wizje. Opowiedział wszystko badaczowi tegoż samego wieczora.

Była to skomplikowana historia, Antykwariusz nabył kryształ wraz z mnóstwem drobiazgów na licytacji u innego handlarza starożytności, a nie zdając sobie sprawy z wartości przedmiotu, oznaczył jego ceną na dziesięć szylingów. Przez kilka miesięcy nie udało mu się go sprzedać nikomu, więc chciał już obniżyć cenę, gdy nagle uczynił szczególne odkrycie.

W tym czasie zdrowie jego bardzo szwankowało — zdawał sobie sprawą, na mocy długoletniego doświadczenia, że coraz bardziej podupadał fizycznie. Żona i pasierbowie maltretowali go i zaniedbywali, co wprawiało biedaka w prawdziwą rozpacz. Pani Care była próżna, narwana, nieczuła i miała rosnącą wciąż skłonność do napojów wysokowych; pasierbica — pospolita i pełna fumów; pasierb zaś powziął dla ojczyma gwałtowną nienawiść i nie omijał sposobności, aby mu ją okazać. Wszystkie ciężary prowadzenia sklepu spoczywały tylko na nim i mister Wace przypuszczał, że biedny Care nie był wolny od przejściowych napadów niewstrzeźliwości. Nic dziwnego: był to człowiek z zamożnego środowiska, otrzymał wykształcenie; cierpiał zaś całymi tygodniami na melancholię i bezsenność. Nie chcąc przeszkadzać rodzinie, próbował zasnąć spokojnie przy boku żony, ale

kiedy napastujące go myśli stawały się nie do zniesienia, uciekał z domu, I pewnej nocy, w końcu sierpnia, o trzeciej nad ranem, szczęśliwy przypadek pogał go do sklepu.

W ciasnej i brudnej izbie panowały nieprzeniknione ciemności, z wyjątkiem jednego tylko miejsca, gdzie żarzyło się jakieś dziwne światło. Podeszedłszy bliżej, mister Care przekonał się, że jest to kryształowe jajko, leżące w rogu lady sklepowej, blisko okna. Wąski promień światła sączył się przez szparę w okiennicy, padał na kulę i zdawało się, wypełniał całe jego wnętrze.

Panu Care przyszło na myśl, że zjawisko to nie było w zgodzie z prawami optyki, których się niegdyś, za młodych lat, uczył w szkole. Wiedział, że promień może się załamać w kryształach i skoncentrować w jego ognisku, ale ta rozlewność światła kłóciła się jaskrawo z jego pojęciami fizykalnymi. Podeszedł więc blisko, zajrzał do wnętrza jajka w chwilowym napływie ciekawości naukowej, która ongiś pokierowała nim w wyborze zawodu. Zdumiał się, zobaczywszy, że światło to nie było stale; drgało i wirowało wewnątrz jajka, jakby to była pusta kula, napełniona jakąś fosforyzującą parą. Zaskoczony tym zjawiskiem, usunął jajko ze sfery świetlnej i zaniósł do najciemniejszego kąta sklepu. Błyszczało tam jeszcze przez jakie cztery, pięć minut, potem zamroczyło się powoli i zgasło. Kiedy umieścił je w wąskiej smudze promienia, poczęło natychmiast świecić znowu.

Dotychczas mister Wace mógł sprawdzić niesłychaną historię mister Care'a. Sam kładł wielokrotnie kryształ w promieniu światła (o średnicy, nie przekraczającej jednego milimetra). I w zupełnej ciemności, na podłożu z czarnego welwetu, kryształ niewątpliwie słabo fosforyzował. Blask jego posiadał szczególne własności i niejednakowo był widoczny dla wszystkich oczu: mister Harbinger, na przykład, którego imię jest znane czytelnikom pism naukowych, w związku z Instytutem Pasteura, nie był zdolny ujrzeć zgołą żadnego światła. Możliwości pana Wace w tym kierunku były mniejsze, niż antykwariusza. Zresztą, zdolność

widzenia mister Care'a wahała się w szerokich granicach: wizja jego była tym żywszą i wyraźniejszą, im więcej cierpiał na zmęczenie i bezsenność.

Od początku światło kryształu wywierało na mister Care'a szczególny urok. To, że nie opowiedział dotychczas żadnej ludzkiej istocie o swoich niezwykłych obserwacjach, świadczyło wymowniej o samotnictwie jego duszy, niż cały tom patetycznej pisaniny. Żył dotychczas w atmosferze tak drobiazgowych prześladowań, że gdyby ktokolwiek dowiedział się o tej jego radości, niechybnie by mu ją odjęto. Starzec zauważył, że kiedy nadchodził świt albo zwiększało się światło w pokoju, kryształ od razu tracił swoje właściwości świetlne, I przez czas dłuższy nie był on zdolny niczego w nim dojrzeć, chyba w nocy, w ciemnym kącie sklepu.

Przyszło mu na myśl kiedyś, aby użytkować czarny welwet, na którym umieszczał kolekcję minerałów; złożywszy go i zarzuciwszy na głowę i ręce, mógł widzieć ruch świetlny wewnątrz jaja, nawet w dzień. Przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, aby go żona nie przyłapała, i oddawał się swoim obserwacjom tylko po południu, kiedy pani Care spała na górze, a i to czynił skrycie, we wnęce, pod kontuarem. Pewnego dnia, kręcąc jajko w ręku, dojrzał coś. Mignęło to, jak błyskawica, ale pozostawiło mu wrażenie, jakby otwarł się przed nim widok na kraj odległy, wielki i dziwny; obracając kryształ w dalszym ciągu, właśnie, kiedy światło zaczęło już przygasać, ujrzał nagle to samo.

Zbyteczne i zbędne będzie podawać wszystkie etapy odkrycia pana Care. Wystarczy tyle: kryształ, nachylony pod kątem 137° do promienia świetlnego, ukazywał jasny i trwały obraz oddalonego i osobliwego kraju. Nie miało to nic wspólnego z marzeniem sennym: obraz sprawiał wrażenie całkowitej realności, a im lepsze było oświetlenie, tym stawał się on rzeczywistszy i trwalszy. Był to wizerunek ruchowy, to znaczy — pewne przedmioty poruszały się w nim powoli i w określony sposób, jak przedmioty normalne, a zależnie od

zmiany kierunku światła i pola widzenia, zmieniał się też i obraz. Było to, jakby kto patrzył przez owalną szybę na jakiś widok, zmieniając zaś położenie szyby, można było krajobraz oglądać z różnych stron.

Relacje pana Care, jak mnie zapewniał asystent Wace, były bardzo szczegółowe i całkowicie pozbawione zabarwienia emocjonalnego, jakie charakteryzuje zazwyczaj halucynacje. Musimy jednak zaznaczyć, że wszelkie usiłowania pana Wace, aby dojrzeć coś podobnego w opalizującym wnętrzu kryształu — spełzały na niczym. Wrażenia obu mężczyzn różniły się wielce pod względem intensywności i można by twierdzić, że to, co było wyraźnym obrazem dla Care'a, przedstawiało się panu Wace w formie mglistych plam. Krajobraz, który widział mister Care, był zawsze rozległą równiną i zdawało się starcowi, że ogląda ją ze znacznej wysokości, jakby z wieży czy z masztu. Na wschodzie i na zachodzie, w znacznej odległości, ograniczały dolinę czerwonawe skały, przypominające antykwariuszowi jakieś dawno widziane obrazy, ale jakie mianowicie — nie mógł pan Wace stwierdzić. Góry owe ciągnęły się z południa na północ — mógł nawet określić ich kierunek według gwiazd, które były tam widoczne w nocy — ginąc w nieograniczonej perspektywie, niknąc we mgle oddalenia. Mister Care patrzył na ten krajobraz z punktu bliższego wschodniemu zboczowi gór; podczas pierwszej wizji słońce świeciło wysoko i ujrzał nagle bujające w powietrzu postaci, czarne na tle słońca, blade zaś w cieniu. Mister Care wziął je za ptaki. Długi rząd budynków ciągnął się daleko; patrzył na nie z góry i im bliżej były mętnej i mglistej krawędzi obrazu, tym wydawały się bardziej niewyraźne. Widać też było drzewa dziwnego kształtu i barwy: ciemną, mszystą zieleń i przecudną szarość.

Rosły one wzdłuż dalekiego, połyskującego kanału czy rzeki. Coś, co było wielkie i ubarwione wspaniale, przeleciało poprzez obraz. Z początku mister Care miewał wizje jedynie chwilami, błyskami; ręce jego drżały, głowa poruszała się z łapczywą chciwością,

obraz pojawiał się i znikał, mglisty, niewyraźny. Niezmiernie było trudno z początku odnaleźć widok, gdy straciło się właściwy kierunek.

Następną jasną wizję udało się otrzymać w tydzień po pierwszej; przerwa nie przyniosła nic nowego, prócz nużących przeblysków i pożytecznego doświadczenia. Wizja ta ukazała dolinę.

Obraz różnił się od poprzedniego, ale mister Care miał szczególne przeświadczenie, które w zupełności potwierdziły następne obserwacje, że patrzy na dziwny świat z tego samego miejsca, tylko w innym kierunku. W dalszej perspektywie ujrzał fasadę wielkiego budynku, którego dach poprzednio oglądał. Poznał zresztą wkrótce i dach.

Fasada domu była ozdobiona tarasem wielkich rozmiarów i niezwyklej długości; na środku tarasu wznosił się ogromny, ale smukły maszt, na którym błyszczały jakieś drobne przedmioty, odbijające promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Znaczenie tych przedmiocików wyjaśniło się dopiero później, gdy Care opisał całą scenę panu Wace. Taras otaczała gęstwa przebogatej i wspaniałej roślinności, a dalej zieleniała rozległa łąka, na której spoczywały niezdarne jakieś stworzenia, podobne do chrząszczy, ale o wiele większe. Jeszcze dalej biegł ozdobny gościniec, wykładany różowym kamieniem, a z drugiej strony, zarośnięta czerwonymi szuwarami, równoległe do dalekich gór, płynęła rzeka. W powietrzu bujały stada ptaków, zataczając wspaniałe łuki, a wzdłuż rzeki wznosił się szereg okazałych budynków, połyskujących metalicznymi płaskorzeźbami i ozdobami; otaczał je las drzew, podobnych do mchów i porostów. Nagle coś zatrzepotało się kilkakrotnie w pola widzenia, jak drogocenny wachlarz albo rozkołysane skrzydło, i twarz albo raczej górna część twarzy z wielkimi oczyma pojawiła się jakby z drugiej strony kryształu. Mister Care wzdrygnął się i tak był poruszony absolutną realnością tych oczu, że przechylił głowę, aby zajrzeć poza kryształ. Tak pochłonęło go badanie, że z największym zdziwieniem zdał sobie sprawę, iż znajduje się w

zimnym, mrocznym sklepie, pełnym znanego zapachu metylu, zgnilizny i pleśni. Kiedy spojrzął znów, promienny kryształ zbladł i zgasł.

Takie były pierwsze najogólniejsze wrażenia pana Care.

Jego opowiadanie jest proste i szczegółowe. Od chwili, kiedy widok na dolinę rozbłysnął przed jego zdumionym wzrokiem, wyobraźnia starca była silnie pobudzona, a kiedy począł rozpoznawać szczegóły wizji, zachwyty jego wzrósł do granic namiętności. Załatwiał sprawy całodzienne z roztargnieniem, nieprzytomnie; myślał bowiem tylko o chwili, kiedy będzie mógł powrócić do swoich badań. W parę tygodni po pierwszym ujrzeniu tajemniczego świata, pojawili się dwaj klienci, którzy naleganiem swym wywołali ową burzę w domu; w rezultacie czego kryształ znikł, jakiem to już raz opowiadał.

Własna tajemnica zachwycała pana Care coraz bardziej; było to coś, do czego należało skradać się i podglądać, jak dziecko podgląda przez sztachety niedostępnego ogrodu. Ale mister Wace, jako młody uczonek, posiadał umysł, przenikliwy i logiczny. Kiedy zobaczył jajko i usłyszał jego historię, mogąc się naocznie przekonać na zasadzie fosforescencji kryształu, że relacja pana Care posiada pewne podstawy — postanowił zbadać rzecz całą systematycznie. Mister Care był nazbyt niecierpliwy, nazbyt łaknący czarodziejskich widoków, które ukazywały się jego oczom; przychodził więc co wieczór i przesiadywał od wpół do jedenastej do wpół do dwunastej. Czasem, gdy pana Wace nie było w domu, zjawiał się też w ciągu dnia oraz w niedzielę, po południu. Ze swej strony pan Wace poczynił liczne notatki i dzięki jego znajomości metod naukowych, dało się ustalić zależność położenia obrazu od kierunku promienia świetlnego. Chowając kryształ do pudełka z prześwidrowanym otworem i zastępując skórzaną pokrywkę czarnym płótnem, polepszył również warunki widzenia do tego stopnia, że udawało się obserwować dolinę we wszystkich kierunkach równocześnie.

Po tych wyjaśnieniach możemy dać krótki opis wizyjnego świata z poza kryształu.

Wszystko, co tu powiemy, widział pan Care na własne oczy. Zwykłą metodą jego pracy było patrzenie w kryształ i zdawanie natychmiastowe sprawy z tego, co widzi, podczas gdy mister Wace, który, jako prawdziwy eksperymentator, znał sztukę pisania w ciemnościach, notował skwapliwie jego słowa. Kiedy kryształ gasł, kładło go się we właściwej pozycji do pudełka i zapalało elektryczność. Mister Wace zadawał wtedy pytania i pytał szczegółowo o spostrzeżeniach, chcąc wyjaśnić pewne ciemne punkty. Istotnie, trudno sobie wyobrazić eksperyment mniej wizjonerski i bardziej rzeczowy.

Uwaga pana Care skierowała się przede wszystkim w stronę dziwnych, podobnych do ptaków, stworzeń, które w tak wielkiej ilości widział uprzednio. Skorygował wkrótce swoje pierwsze wrażenia i osądził, że musi to być dzienna odmiana nietoperzy. A potem twierdził dość zabawnie, że to są chyba anioły, Głowy ich były okrągłe i podobne bardzo do ludzkich. Oczy jednego z nich uderzyły go szczególnie podczas drugiej wizji. Miały te stworzenia wielkie, srebrzyste skrzydła, pokryte nie piórami, ale czymś na kształt łuski, błyszczącej żywo, jak u świeżo śniętej ryby, o podobnie subtelnej grze kolorów.

Konstrukcja tych skrzydeł nie przypominała skrzydeł ptasich czy nietoperzych; były one rozpięte na łukowatych żebrach, wychodzących promieniście z ciała. Raczej skrzydła motyle przypominało owo zebrowanie. Ciało tych stworzeń było drobne, zaopatrzone w dwa chwytne organy, jakby w grona macek, wyrastających poniżej ust. Trudno było uwierzyć, ale wszystko świadczyło, że to właśnie owe stworzenia wzniosły wielkie, podobne do ludzkich siedzib, budynki.

Domy te wyróżniały się, oprócz innych szczególnych cech, tym, że pozbawione były drzwi i posiadały tylko wielkie, okrągłe okna, otwierające się z łatwością. Przez nie to wchodziły i wychodziły owe stworzenia — Zawisały na swoich mackach, zwijały skrzydła, które stawały

się podobne do pręta, i wskakiwały do środka. Żyły jeszcze w owym świecie tłumy istot o mniejszych skrzydłach, podobnych do ważek i chrząszczy, a po trawnikach łąziły tu i tam olbrzymie, kolorowe żuki. Więcej jeszcze: na gościńcach i tarasach widać było wielkogłowe stworzenia, podobne do much, ale bez skrzydeł, skaczące pracowicie na owych mackach. Następnie zaciekały badaczy błyszczące przedmioty, przymocowane do masztów, wznoszących się z tarasu najbliższego budynku. Przyglądając się bacznie jednemu z masztów, pewnego, szczególnie jasnego dnia, zrozumiał pan Care, że błyszczące przedmioty — to kryształy, zupełnie takie same, jak ten, w który patrzył. Rozpatrzywszy je dokładnie, przekonał się, że masztów było około dwudziestu, a na każdym tkwił kryształ.

Zdarzyło się, że jedno z większych latających stworzeń zatrzepotało się nad jednym z nich; złożyło skrzydła i przyczepiwszy się mackami do masztu, jęło patrzeć w kryształ uważnie przez jakie piętnaście minut. Cała seria obserwacji pod kierunkiem pana Wace upewniła obydwóch badaczy, że ten kryształ, w który patrzyli, znajdował się też i w owym wizyjnym świecie, umocowany na szczycie ostatniego masztu, i że pewnego razu jeden z mieszkańców tamtego świata spojrział w twarz panu Care, który w owej chwili patrzył również w kryształ. Tyle o najważniejszych faktach tej niezwykłej historii. Jeżeli nie uznamy wszystkiego za dowcipny pomysł pana Wace, musimy dopuścić dwie hipotezy: albo kryształ pana Care znajdował się naraz w dwóch rzeczywistościach i kiedy go się poruszało w jednej, zostawał, mimo to, nieruchomy w drugiej, co się wydaje absurdem; albo też, że kryształ ten pozostawał w jakimś szczególnym związku sympatycznym z analogicznym kryształem innego świata w ten sposób, że co widział w jego wnętrzu jeden z obserwatorów ziemi, było na podobnych zasadach widoczne w kryształach z tamtego świata i vice versa,

Jak dotychczas, trudno sobie zdać sprawę, w jaki sposób oba kryształy mogły wejść ze sobą w związek, znaleźć się en rapport, ale ostatecznie możemy zrozumieć, że nie jest to rzecz

niemożliwa. Pogląd, że kryształy znajdują się z sobą en raport, był hipotezą pana Wace, a i mnie wydał się zupełnie prawdopodobny.

Ale cóż to był za świat? I pod tym względem bystra inteligencja pana Wace przelała na zagadnienie nieco światła. Po zachodzie słońca niebo w tamtym świecie ściemniało się szybko — noc, zresztą, panowała niezmiernie krótko — i pokrywało się gwiazdami. Mister Care rozpoznał Wielką Niedźwiedzicę, Plejadę, Aldebrana i Syriusza: to świadczyło, że tamten świat musiał się jednak znajdować w systemie słonecznym i to najwyżej w odległości kilkuset milionów mil od globu ziemskiego. Dążąc po nitce do kłębka, pan Wace przekonał się, że niebo w owym kraju ciemniejsze było, niż u nas, a słońce wydawało się nieco mniejsze. W świecie owym błyszczały dwa małe księżyce, podobne do naszego, tylko mniejsze i obdarzone nieco inne — mi właściwościami: jeden z nich poruszał się tak szybko, że ruch jego dawał się z łatwością zauważyć. Księżyce owe nie znajdowały się nigdy wysoko na niebie, bladły, podnosząc się w górę, a to dlatego, że kręcąc się nieustannie, były zbyt blisko swojej rodzimej planety.

Wszystko to odpowiadało całkowicie — choć sam mister Care nie zdawał sobie z tego sprawy — stanowi rzeczy na Marsie.

Istotnie, wydawało się więcej niż prawdopodobnym, że zaglądając do kryształu, mister Care widział planetę Marsa i jej mieszkańców. I jeżeli rzeczywiście tak się rzecz miała, to owa gwiazda wieczorna, lśniąca promiennie na niebie tamtego tajemniczego świata, była niczym innym, jak tylko naszą Ziemią.

Przez pewien czas Marsjanie — gdyż to byli Marsjanie — nie zdawali sobie sprawy z inspekcji pana Care. Kilkakrotnie któryś z nich zaglądał do kryształu, ale natychmiast odlatywał pośpiesznie do innego masztu, jak gdyby znajdował, że wizja jest niezadawalająca.

Mr. Care mógł obserwować obyczaje tego skrzydlatego ludu, a relacja jego, choć z natury

rzeczy fragmentaryczna i niedokładna, jest niemniej bardzo ciekawa. Wyobraźcie sobie pojęcie, jakie będzie miał o ludzkości Marsjanin, obserwujący po dłuższym okresie przygotowawczym i z wielkim wysiłkiem wzroku — Londyn z dzwonnicy kościoła Św. Marcina i to jednym ciągiem, najwyżej przez cztery minuty. Mister Care nie potrafił określić, czy Marsjanie skrzydlaci i ci, którzy skakali po drogach i tarasach, mogli w sposobnej chwili rozwinąć skrzydła i latać. Od czasu do czasu widywał on pewne niezdarne dwunogie stworzenia, przypominające małpy, białe i częściowo przezroczyste; pasły się pomiędzy drzewami, przypominającymi porosty, i uciekały, dostrzegłszy któregoś ze skaczących krąglągłych Marsjan. Jeden z nich pochwycił któreś ze stworzeń dwunogich swymi mackami, gdy wtem obraz się zamglił i mister Care napróżno wyteżał wzrok w ciemnościach. Innym razem, jakiś wielki przedmiot, który się wydał panu Care ogromnym owadem, pojawił się na jednym z gościńców, posuwając się wzdłuż kanału z ogromną szybkością. Kiedy się przybliżył, mister Care rozpoznał, że była to maszyna z błyszczącego metalu, o niezwykle skomplikowanej konstrukcji. Po chwili znikła mu z oczu.

Po pewnym czasie pan Wace postanowił zwrócić uwagę Marsjan i kiedy znów pojawiły się w kryształach dziwne oczy jednego z nich, pan Care krzyknął, podskoczył. Pochylili natychmiast kryształ w stronę światła i poczęli gestykulować w sposób porozumiewawczy. Ale kiedy mister Care znów zajrzał do kryształu — Marsjanin już odleciał.

Wszystkie te obserwacje poczyniono w październiku, a później Care, czując, że podejrzenia rodziny, dotyczące kryształu, osłabły, począł nosić jego stale przy sobie, ażeby o każdej porze dnia i nocy nasycać się widokiem, który stał się najprawdziwszą i jedynie realną częścią jego życia.

W listopadzie, w związku ze zbliżającymi się egzaminami, praca pana Wace znacznie się wzmogła, trzeba było — acz z niechęcią — zawiesić seanse na jakiś tydzień i w rezultacie, w

ciągu dziesięciu czy jedenastu dni — nie przypominał sobie tego dokładnie — nie miał on pojęcia, co się dzieje z panem Care. Zatrószył się wreszcie, że trzeba będzie opracować dotychczasowe badania, więc kiedy zwałił z głowy najważniejszą robotę, udał się, czym prędzej, na ulicę Leren Dials. Na rogu, w sklepach szewca i handlarza ptaków spuszczone żaluzje. Sklep zaś pana Care był zamknięty.

Zastukał. Drzwi otworzył pasierb w czarnym ubraniu. Zawołał on panią Care, która nadeszła w taniej, ale sutej sukni żałobnej, bardzo majestatycznego kroju. Bez wielkiego zdziwienia dowiedział się pan Wace, że Care zmarł i już jest po pogrzebie. Pani Care była we łzach i łkanie miała w głosie. Właśnie wracała z cmentarza. Umysł jej był najwidoczniej zajęty widokami na przyszłość i szczegółami ceremoniału pogrzebowego, ale mister Wace chciał się dowiedzieć czegoś dokładniejszego o śmierci Care'a. Znalaziono go martwego w sklepie pewnego wczesnego ranka, nazajutrz po ostatniej wizycie u pana Wace; w zaciśniętej ręce trzymał mocno kryształ.

— Twarz miał uśmiechniętą — opowiadała pani Care — a czarny welwet leżał u jego stóp, na podłodze. Nie żył już, zapewne, od jakich pięciu, sześciu godzin.

Wszystko to bardzo poruszyło Wace'a, który począł sobie gorzko wyrzucać, że nie zwrócił dostatecznej uwagi na symptomy choroby swego starego przyjaciela. Jednakże pierwszą jego myślą był kryształ. Poruszył tą sprawę w sposób zamaskowany i delikatny, gdyż znał chciwość pani Care. Przygnębiła go ogromnie wiadomość, że kryształ został sprzedany.

Pierwszym impulsem pani Care, kiedy wniesiono ciało jej męża na górę, było napisanie do owego duchownego, który ongiś zaofiarował pięć funtów za kryształ; ale mimo gwałtownych poszukiwań, w których brała udział też i córka, okazało się, że adres gdzieś zginął. Ponieważ rodzina nie miała środków na pogrzeb Care'a według uświęconego tradycją ulicy Leren Dials ceremoniału, zwróciły się więc do pewnego zaprzyjaźnionego handlowca z ulicy Great

Portland. Ten, oceniwszy z całą uprzejmością część towarów ze sklepu, wziął je do siebie w komis; zabrał między innymi i kryształowe jajko. Pan Wace, wypowiedziawszy kilka okolicznościowych słów pociechy, może nieco niedbale, popędził bezzwłocznie na ulicę Great Portland. Ale tam się dowiedział, że kryształ już sprzedano jakiemuś wysokiemu, czarniawemu panu w szarym ubraniu. I na tym się kończą fakty, dotyczące tej dziwnej, a według mnie, niezmiernie interesującej historii. Kupiec z ulicy Great Portland nie wiedział, kim był wysoki pan w szarym ubraniu, ani też nie przyjrzał mu się dostatecznie, aby móc opisać dokładnie jego powierzchowność. Nie umiał też powiedzieć, w którą stronę udał się ów klient, wyszedłszy ze sklepu — przez dłuższy czas wystawiał pan Wace cierpliwość kupca na próbę, zamęczając go pytaniami, nie posiadając się z rozpacz i złości. Wreszcie, zrozuwawszy, że cała rzecz wymknęła mu się z rąk, rozwiła się, jak sen, powrócił do siebie i zdziwił się nieco, gdy ujrzał własne notatki na biurku, tak widoczne, tak dotykane.

Nie trzeba opisywać, jak wielka była jego rozpacz i rozczarowanie. Zwrócił się po raz drugi — równie bezowocnie — do handlarza z Great Portland i umieścił parę ogłoszeń w gazetach, na wypadek, gdyby kryształ dostał się w ręce któregoś z kupców starzyzną. Napisał też kilka artykułów do „Daily Chronicle” i „Nature”, ale obydwie pisma, podejrzewając oszustwo, poradziły mu cofnąć się przed wydrukowaniem, a i on sam zrozumiał, że tak dziwaczna historia, która na nieszczęście nie mogła być sprawdzoną, może zaszkodzić jego reputacji, jako uczonego. Po zatem, musiał powrócić do swoich własnych, przerwanych prac. Tak, że po jakim miesiącu, wyjąwszy przypadkowe wizyty u różnych antykwariuszy, musiał, acz niechętnie, zamachać poszukiwań kryształowego jajka. Dotychczas nikomu nie udało się go odnaleźć. Czasami tylko, jak mi opowiadał mister Wace — a ja mu wierzę — w okresach nawrotów dawnego zapału, porzucał najbardziej pilne zajęcia i usiłował prowadzić dalsze badania.

Czy uda się kiedykolwiek odszukać jajko i zbadać jego strukturę i pochodzenie? To pytanie jest na razie bezprzedmiotowe, Jeżeli obecny nabywca jest kolekcjonerem, można by się spodziewać, że echa poszukiwania pana Wace wśród kupców dojdą do mego. Panu Wace udało się odszukać klientów pana Care: duchownego i Azjatę. Nie był to nikt inny, tylko pastor James Parker i młody książę Bossotkum z Jawy. Zawdzięczani im pewne szczegóły. Motywem działania księcia była zwykła ciekawość i zachcianka. Zapalił się tak bardzo do kupna właśnie dlatego, że Care wykręcał się od sprzedaży. Jest bardzo możliwe, że następny klient był zwykłym, przypadkowym zbieraczem, a nie prawdziwym kolekcjonerem, i że kryształowe jajko znajduje się w tej chwili mniej niż o milę ode mnie i ozdabia jakiś salon albo służy za przycisk, a jego niezwykle własności pozostają nieznane. I muszę się przyznać, że głównie w przewidywaniu takiej możliwości nadałem temu zdarzeniu formę opowiadania, które udostępni je szerszym sferom zwykłych poszukiwaczy fikcji.

Mój własny pogląd na tę sprawę zgadza się całkowicie z przekonaniem pana Wace. Jestem pewien, że kryształ z Marsa, umocowany na maszcie, i jajko kryształowe pana Care pozostawały w jakimś fizycznym, choć obecnie niewytłumaczalnym związku (en rapport); wierzymy też obaj, że ziemski kryształ musiał być zesłany na ziemię z owej planety — być może w odległych jeszcze czasach — ażeby informować Marsjan o naszym życiu. Możliwe, że odpowiedniki kryształów z innych masztów znajdują się na naszym globie. Wszelkie teorie o halucynacjach muszą zblednąć wobec faktów.

ELIKSIR PRZYŚPIESZAJĄCY

Nowy akcelerator

Niewątpliwie, jeżeli komu zdarzyło się znaleźć gwineę, kiedy szukał szpilki — to właśnie memu przyjacielowi, profesorowi Gibberne. Zdarzyło mi się już nieraz słyszeć o doświadczeniach, których rezultat przekraczał wszelkie oczekiwanie, ale nigdy jeszcze nie

słyszałem o fakcie podobnym. Przyjaciel mój dokonał odkrycia, które — bez najmniejszej przesady — zrewolucjonizuje zupełnie życie ludzkie. I to wtedy, kiedy szukał po prostu środka podniecającego dla nerwów, który by wzmacniał energię osób, wyczerpanych przyspieszonym tempem współczesnego życia. Próbowałem kilkakrotnie nowego eliksiru i najlepiej uczynię, opisując jego działanie na mojej własnej osobie. Okaze się wówczas w wystarczającej mierze, że kryją się w nim zdumiewające możliwości dla osób, żądnych nowych wrażeń.

Profesor Gibberne, jak wiadomo, jest moim sąsiadem w Folkestone. Jeżeli się nie mylę, „The Strand Magazine” zamieścił w końcu 1899 roku fotografię, przedstawiającą profesora w różnym wieku, nie mogę jednak tego sprawdzić, gdyż pożyczyłem rocznik jakiemuś znajomemu, który mi go, oczywiście, nie oddał. Czytelnik przypomina sobie zapewne wysokie czoło, niezwykle długie, czarne brwi, nadające twarzy Gibberne’a istic mefistofelski wygląd. Zajmuje on jeden, z tych miłych domków w stylu „mieszanym”, które czynią tak interesującą wschodnią część drogi Upper Landgate. Dom jego, ozdobiony flamandzkimi gołębiami, posiada mauretański portyk. Profesor pracuje zwykle w małym pokoju z wnęką i weneckim oknem, gdzieśmy tak często wieczorami palili i rozmawiali. Lubi on bardzo dowcipy i żarty, zarówno, jak i poważną rozmowę o swojej pracy; jest to jeden z tych ludzi, dla których dyskusja jest pomocą i bodźcem i dlatego też mogłem śledzić za rozwojem koncepcji Akceleratora od najwcześniejszych stadiów. Niewątpliwie, największej części eksperymentów dokonał Gibberne nie w Folkestone, lecz przy ulicy Gower, w świetnym, należącym do szpitala laboratorium, z którego on pierwszy zaczął korzystać. Jest to powszechnie wiadome, przynajmniej wśród ludzi inteligentnych, że Gibberne wyróżniał się i zdobył sławę naukową, dzięki swym pracom, badającym oddziaływanie pewnych lekarstw na system nerwowy. Nie posiada on rywali w stosowaniu środków nasennych, znieczulających i

uspokajających. Jest też bardzo wybitnym chemikiem i przypuszczam, że w nieprzebytym gąszczu tajemnic, zgrupowanych dookoła działalności komórek gruczołowych i rozgałęzieniu rdzenia pacierzowego, właśnie Gibberne wyrąbał przejście i przelał w nie światło, które aż do chwili opublikowania jego prac nie było dostępne nikomu z żyjących. W ostatnich latach profesor zajął się z niezwykłym zapałem zagadnieniem podniet nerwowych, tak, że jeszcze przed odkryciem Akceleratora uzyskał bardzo ciekawe rezultaty. Wiedza lekarska zawdzięcza mu, co najmniej, trzy środki wzmacniające, niezwykle skuteczne. W wypadkach wyczerpania organizmu, preparat, zwany „Syropem B Gibberna”, uratował więcej egzystencji ludzkich, niż łódź ratunkowa na pobrzeżu morskim.

— Żaden z tych drobiazgów nie zaspokaja mnie jednak — powiedział mi przed rokiem. — Ich działanie jest dwojakie: albo wzmagają energię ośrodków, nie zatrącając nerwów, albo po prostu powiększają ilość niezbędnej energii, zmniejszając przewodnictwo nerwowe; działanie ich jest czysto lokalne i niezrównoważone. Jeden z tych środków pobudza serce i wnętrzności, ale ogłupia mózg, inny — podnieca mózg, na kształt szampana, ale działa nieszczęśliwie na plexus solaris. Ja tymczasem, chciałbym wynaleźć — jeżeli jest jakakolwiek możliwość po temu — bodziec, podniecający ogólnie, który wstrząśnie panem od głowy do końca wielkiego palca u nogi i wzmoże pańską aktywność organiczną dwa albo i trzy razy. Co? Oto jest rzecz, której szukam.

— Będzie to jednak bardzo wyczerpujące dla człowieka — odrzekłem.

— Bez wątplenia. Ale będzie się też jadło podwójnie lub potrójnie — i tak dalej. Niech pan tylko pomyśli, co to znaczy! Proszę sobie wyobrazić taki flakon — to mówiąc, podniósł do góry buteleczkę z zielonego szkła i począł nią poruszać w takt swych słów — a w tym flakonie możność myślenia podwójnie, podwójnej szybkości ruchów i podwójnej ilości pracy, niż zazwyczaj...

— Ale czyż to możliwe?

— Tak sędzę. Jeżeli zaś nie, to tracę na próżno czas od roku. Te, na przykład, preparaty typu ofosfitowe świadczyłyby o czymś... Nawet, gdyby chodziło o przyśpieszenie półtora razy.

— Tak, toby też wystarczyło — odrzekłem.

— Gdyby pan był, na przykład, mężem stanu, zawalonym robotą — a tu czas ucieka...

Co?

— Tak! Dać wtedy kilka kropli sekretarzowi prywatnemu!

— I zarabiać... podwójnie. A teraz niech pan pomyśli: pragnie pan skończyć książkę...

— Zazwyczaj — odrzekłem — pragnąłbym jej wcale nie zaczynać.

— Albo doktor, zastanawiający się nad śmiertelnym wypadkiem. Albo adwokat, 'albo ktoś, zdający egzamin...

— Dla tych ludzi — odrzekłem — każda kropla warta by była gwinei albo i więcej.

— A podczas pojedynku — dodał Gibberne — kiedy wszystko zależy od szybkości, z jaką naciska się cyngiel.

— Albo zasłoni się szablą.

— Widzi pan — mówił Gibberne — gdybym znalazł taki ogólnie przyśpieszający środek, nieszkodliwy dla zdrowia... Tyle tylko, że w bardzo nieznacznym stopniu postarzałby ludzi... Żyłoby się podwójnie w porównaniu z innymi.

— Obawiam się jednak — rozważyłem — czy podczas pojedynku byłoby to lojalne...

— To już jest pytanie dla sekundantów — odrzekł Gibberne.

Znów wyraziłem swą wątpliwość:

— I pan naprawdę myśli, że to jest możliwe?

— Równie możliwe — odrzekł Gibberne, spojrzawszy przez okno na wehikuł,

przejeżdżający z hałasem i stukiem — jak autobus. Właściwie...

Zamilkł, uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo i postukał o brzeg biurka swoim zielonym flakonem.

— Zdaje się, że mam już to, o co mi chodzi... Właśnie otrzymałem coś w tym rodzaju.

Jego nerwowy uśmiech zdradzał powagę rewelacji. Nie miał zwyczaju mówić o nieukończonych jeszcze doświadczeniach, chyba, że był ich zupełnie pewny.

— I jest możliwe, możliwe — nie zdziwi mnie to wcale — jeżeli uda mi się osiągnąć szybkość więcej, niż podwójną.

— To byłoby wielkie odkrycie!

— A tak, przypuszczam, że byłoby to rzeczy, wiście wielkie odkrycie.

Nie sądzę jednak, mimo wszystko, że zdawał sobie wówczas sprawę, jak bardzo wielkie było to odkrycie.

Pamiętam, że jeszcze kilkakrotnie rozmawialiśmy o nowym preparacie. Profesor nazwał go „Eliksirem przyśpieszającym” czyli „Nowym Akceleratorem”, a mówił o nim tonem co raz pewniejszym. Czasem poczynił rozważać nerwowo nieprzewidziane działanie, jakie eliksir może wywierać na organizm ludzki, i wówczas stawał się niespokojny; kiedy indziej rozpatrywał sprawę handlowo i rozprawialiśmy długo a gorąco, w jaki sposób wykorzysta się preparat pod względem pieniężnym.

— Będzie można na tym grubo zarobić — mówił Gibberne — ale to grubo zarobić! Daję światu coś, naprawdę coś i uważam za słuszne, że świat za to zapłaci. Dobro nauki jest bardzo piękną rzeczą, ale myślę, że lepiej będzie zachować dla siebie wyłączną sprzedaż preparatu w ciągu jakich, powiedzmy, dziesięciu lat. Nie pojmuję dlaczego wszystkie radości życia mają być tylko udziałem handlarzy wieprzowiną.

Zainteresowanie moje nowym preparatem nie zmniejszało się z upływem czasu. Posiadam

pewną skłonność do zagadnień metafizycznych. Lubiłem zawsze paradoksy, dotyczące czasu i przestrzeni; to też wydało mi się, że wynalazek Gibberne'a wywoła całkowite przyśpieszenie tempa życia. Wyobraźmy 'sobie człowieka, który systematycznie zażywa taki preparat: życie jego będzie czynne i bogate, ale w jedenastym roku życia będzie już dorosły, w dwudziestym piątym — dojrzały, a w trzydziestym — znajdzie się na drodze do uwiadu starczego. Zdawało mi się, że preparat Gibberne'a wytworzy w ludziach właściwości, którymi przyroda obdarzyła Żydów i narody wschodnie. Będąc mężczyznami już w piętnastym roku życia, a starcami — w pięćdziesiątym, są oni zdolni do szybszych myśli i czynów, niż my. Cudowne własności lekarstw wywierały na mnie zawsze wielkie wrażenie, zwłaszcza, gdy myślałem, że są one zdolne doprowadzić człowieka do szaleństwa albo uspokoić, uczynić go niezwykle silnym i dzielnym albo bezradnym i słabym, podniecić jakąś namiętność i złagodzić inną. A oto nowy cud dołącza się do arsenału, którym rozporządza lekarz. Ale Gibberne był nazbyt pochłonięty wymogami technicznymi wynalazku, aby zagłębiać się w tego rodzaju rozważania.

Siódmego czy ósmego sierpnia zakomunikował mi, że właśnie w chwili, kiedy sobie tutaj rozmawiamy, odbywa się destylacja preparatu, która zadecyduje o jego sukcesie lub niepowodzeniu; a dziesiątego sierpnia oznajmił, że rzecz jest gotowa i że „Eliksir przyśpieszający” jest zjawiskiem najrealniejszym w świecie. Spotkałem profesora, wchodząc na bandgate Hill, w kierunku Folkestone — szedłem, jeżeli się nie mylę, do fryzjera, aby się ostrzyć. Nagle zobaczyłem, że profesor pędzi na moje spotkanie; przypuszczam, że był u mnie w domu, aby mi oznajmić natychmiast swój sukces. Przypominam sobie, że oczy jego gorączkowo błyszczały, a twarz była purpurową; spostrzegłem też niezwykle szybkość jego chodu.

— Zrobione! — krzyknął, chwytając mnie z ręką. — Więcej, niż zrobione! Niech pan

idzie ze mną prędko do domu, to zobaczy...

— Naprawdę?

— Naprawdę! — wrzasnął, — Niestłuchane, zdumiewające! Niech no pan idzie prędzej!

— Przyśpiesza — podwójnie?

— Co tam podwójnie! Więcej, znacznie więcej! Jasiem oszołomiony. Chodźmy prędzej!

Spróbuj pan preparatu! zobaczy pan! Niestłuchane, zdumiewające!

Pochwyił moje ramię i począł wspinać się na wzgórze tak prędko, krzycząc i

gestykulując, że musiałem niemal biec za nim. Pewna wycieczka, jadąca autocarem,

wytrzeszczyła na nas unisono oczy, jak to zwykle czynią wycieczkowicze, jadący auto —

carem. Dzień był jasny i gorący, jeden z tych dni, tak częstych w Folkestone, kiedy to

wszystkie barwy błyszczą jaskrawo, a kontury przedmiotów zarysowują się ostro. Wiał też

wietrzyk, ale zbyt nikły, aby mnie w takich okolicznościach ochłodzić i osuszyć. Zawołałem

łaski,

— Alboż ja tak prędko chodzę? — zapytał Gibberne i zwolnił kroku, maszerując jednak

bardzo szybko.

— Czy pan spróbował trochę tego lekarstwa? — zapytałem, ciężko dysząc.

— Nie — odrzekł — zaledwie kropelkę wody, którą wypłukałem kieliszek po moim

eliksirze,

— Więc działanie jest podwójne? — zapytałem, podchodząc do drzwi profesorskiego

domu, rozpaczliwie spocony.

— Tysiącrotne! Więcej, niż tysiącrotne! — wrzasnął Gibberne, otwierając

dramatycznym ruchem rzeźbioną dębową bramę, w stylu staroangielskim.

— Nie! — zawołałem, wchodząc w drzwi.

— Nawet nie wiem, ilokrotnie przyśpiesza — odrzekł, z kluczem w ręku.

— I pan...

— Rzuca to zupełnie nowe światło na fizjologię nerwów, przedstawia w zupełnie nowej formie teorię widzenia!... Bóg raczy wiedzieć, ile razy! Będziemy myśleli o tem później.

Narazie chodzi o to, aby wypróbować preparat.

— Mamy zażyć go? — zapytałem w przedpokoju.

— Ano, tak! — odrzekł Gibberne już z laboratorium. — Oto jest w tej małej, zielonej flaszczyce. Chyba, że pan się boi...

Jestem z natury ostrożny, awanturniczy zaś — tylko w teorii. Bałem się. Ale z drugiej strony, byłoby się czym pysznić później.

— Dobrze — wybąknąłem — pan już próbował, prawda?

— Próbowałem — odrzekł — i jak pan widzi, nic mi się nie stało. Nie wyglądałem chyba, jak mortus; przeciwnie, czuję się...

Osiadłem.

— Niech mi pan naleje — rzekłem. — W najgorszym wypadku nie będę się musiał więcej strzyć ani golić, co jest najpotworniejszym pomysłem cywilizowanego człowieka. Jak się zażywa tej mikstury?

— Z wodą — i Gibberne postawił na stole karafkę.

Siedziałem na fotelu, a on stał przed biurkiem i patrzył na mnie. Przypomniawszy sobie nagle, że jest lekarzem, specjalistą z Harley Street.

— Uprzedzam pana, że to lekarstwo jest trochę dziwne.

Machnąłem ręką,

— Uprzedzam też pana, że natychmiast po zażyciu należy zamknąć oczy i otwierać je powoli, nie wcześniej, niż po minucie. Widzi się i potem. Zmysł wzroku zależy od czasu wibracji, a nie od ilości zjawisk. Jest to jednak rodzaj szoku dla siatkówki, przykre olśnienie,

jeżeli ma się oczy otwarte. Niech pan zaniknie powieki.

— Dobrze, Już!

— Dalej, niech się pan nie rusza; łatwo się porozbijać, Od razu się pan wyrżnie o coś.

Trzeba pamiętać, że będzie pan funkcjonował kilka tysięcy razy prędzej, niż zazwyczaj: serce,

płuca, mózg — wszystko — to też można się potłuc porządnie, nim się człowiek obejrzy. Po

za tym, nie będzie pan sobie zdawał sprawy z żadnej zmiany. Będzie się pan czuł, jak w tej

chwili. Tyle tylko, że wszystko na świecie będzie się poruszało kilka tysięcy razy wolniej.

Dzięki temu właśnie, świat wyda się tak dziwny.

— Boże święty! — zawołałem. — I pan sądzi...

— Sam pan osądzi — odrzekł i wziął kropłomierz. Potem spojrzał na biurko: —

Szklanki,,, woda... jest wszystko. Nie należy zażywać zbyt wiele za pierwszym razem.

Odliczył kilka cennych kropli.

— Niech pan nie zapomina, com powiedział — rzekł, wlewając zawartość kropłomierza

do szklanki ruchem Włocha, odmierzającego wetail. — Należy siedzieć z zamkniętymi

oczyma, absolutnie bez ruchu, przez dwie minuty. Aż do chwili, kiedy zacznę do pana mówić.

Dolał teraz wody do obydwóch szklanek.

— Ale, prawda! — dodał, — Niech pan nie stawia szklanki z powrotem na stole. Może ją

pan trzyma w rękę, a łokieć oprzeć na kolanie. O tak! No, a teraz...

Podniósł szklankę,

— Za „Nowy Akcelerator!”

— Za „Nowy Akcelerator!” — zawołałem i trąciliśmy się szklankami. Wypiłem roztwór i

natychmiast zamknąłem oczy.

Znacie to uczucie pustki i niebytu...

Trwało przez czas nieokreślony. Potem usłyszałem głos Gibberne’a, który kazał mi

obudzić się; ocknąłem się więc i otworzyłem oczy.

Stał, jak poprzednio, ze szklanką w ręku. Tyle tylko, że była pusta.

— I cóż? — powiedziałem.

— Wszystko w porządku?

— Najzupełniej. Tak się tylko czuję, jakbym się wstawił. Nic więcej,

— Słyszysz pan co?

— Nic specjalnego — odrzekłem, — Ależ tak, do licha, nic nie słyszę, — Może tylko lekki plusk, lap, lap, jakby deszcz padał na różne przedmioty. Co to jest?

— Dźwięki, rozłożone na części składowe — odpowiedział — tak mi się przynajmniej zdaje. Patrzył w okno. — Czy pan widział kiedy firankę w takiej pozycji?

Spojrzałem w tę stronę: koniec firanki sterczał sztywno, nieruchomo, jakby wzdąwszy się od wiatru, zatrzymał się nagle.

— To dziwne — odrzekłem.

— A to? — powiedział i otworzył dłoń, w której trzymał szklankę.

Zamrugałem naturalnie oczyma, oczekując, że naczynie spadnie za chwilę na ziemię i potłucze się. Nic podobnego!

Wcale nie poruszała się z miejsca: wisiała nieruchomo w powietrzu.

— Na ogół biorąc — rzekł Gibberne — w naszej szerokości geograficznej przedmiot, spadając, przebywa szesnaście stóp w pierwszej minucie. I ta szklanka spada z szybkością szesnastu stóp na sekundę... tylko, że widzi pan, jeszcze nie upłynęła setna część sekundy. To panu powinno dać pojęcie o szybkości mego przyspieszacza.

Powiódł ręką dookoła, ponad i poniżej spadającej powoli szklanki, wreszcie pochwycił ją za dno i postawił bardzo ostrożnie na stole.

— Co, he? — odezwał się ze śmiechem,

— Wszystko to jest pierwsza klasa — zdecydowałem, zaczynając powolutku wstawać z krzesła. Czułem się doskonale, bardzo lekko i przyjemnie, ponadto byłem pełen ufności w swoje siły. Organizm mój funkcjonował z ogromną szybkością. Serce, na przykład, biło tysiąc razy na sekundę, ale nie czułem się wcale przez to gorzej. Wyjrzałem przez okno.

Nieruchomy cyklista z pochyloną głową tkwił w obłoku kurzu, jakby chciał dogonić rozpędzony omnibus, który nie ruszał się z miejsca.

— Gibbernie! — zawołałem. — Jak długo może trwać działanie tej przeklętej mikstury?

— Bóg to raczy wiedzieć! — odrzekł. — Ostatnim razem, kiedym tego zażył, położyłem się do łóżka i przespałem czas działania. Muszę się przyznać, że miałem stracha nie na żarty. Minęło wówczas kilka minut. Mnie się wydały godzinami. Po pewnym jednak czasie efekt znika gwałtownie.

Byłem bardzo dumny, nie czułem żadnego lęku — może dlatego, że byliśmy we dwoje,

— Może byśmy wyszli trochę? — zaproponowałem,

— Czemu nie!

— Tylko, że ludzie nas zobaczą...

— Ludzie? Nie! Chwała Bogu — nie. Jak to? będziemy się przecież poruszali z szybkością tysiąc razy większą, niż może być dokonana najbłyskawiczniejsza sztuka magiczna.

Chodźmy! Którędy wyjdziemy? Drzwiami czy oknem?

Wyszliśmy oknem.

Ze wszystkich dziwnych eksperymentów, jakie przerabiałem, o jakich marzyłem albo

czytałem, najdziwniejszym był bieg mój z Gibberne'em, pod wpływem „Nowego

Akceleratora”, wzdłuż promenady Folkestone, Wyszliśmy za furtkę i poczęliśmy czynić po

drodze drobiazgowo spostrzeżenia nad posągową nieruchomością przejeżdżających

wehikułów. Ruch nóg końskich, obrót kół przejeżdżającego omnibusu, koniec bata i szczęka

konduktora — który właśnie zaczął ziewać — były do pewnego stopnia widoczne, ale reszta ciężkiego pojazdu zdawała się stać spokojnie i bezgłośnie, słyszałem jedynie dźwięk słabego kaszlu, który wstrząsał jednym z pasażerów.

Na tym zakrzepłym pojeździe widniał konduktor, woźnica i jedenastu pasażerów. Efekt ogólnej nieruchomości wydawał nam się z początku dziwnym, potem stał się przykrym.

Wszyscy przechodnie, tak podobni do nas, a tak różni, zamarli w niedbałych pozach, zatrzymali się w pół gestu. Zakochana para uśmiechała się do siebie, skrzywionym uśmiechem, trwającym w nieskończoność; kobieta w dużym kapeluszu trzymała rękę na poręczy balkonu, patrząc na dom Gibberne'a nieruchomym wzrokiem wieczności; pan — jakiś trzymał rękę przy wąsach, jak lalka woskowa, a inny wyciągnął powolną, sztywną dłoń z rozczapierzonymi palcami po kapelusz, unoszony przez wiatr. Przyglądaliśmy się im wszystkim, śmiejąc się i wykrzywiając, ale wkrótce poczuliśmy rodzaj niesmaku.

Zawróciliśmy więc i przeszedłszy przez jezdnię, tuż przed cyklistą, skierowaliśmy się w stronę promenady.

— Tam, do licha! — zawołał Gibberne. — Niech no pan patrzy!

W pobliżu jego wskazującego palca obsuwała się w dół pszczoła, machając wolniutko skrzydłami; ruszała się nie prędzej od bardzo ociężałego ślimaka,

Takeśmy doszli do promenady. Tam rzeczy przedstawiły się jeszcze cudaczniej, niż dotychczas. Na estradzie grała orkiestra, ale dźwięki jej dochodziły nas, jako cieniutkie skrzypienie, trzask grzechotki, przeciągłe westchnienie albo tykanie potwornego zegara, Zastygli ludzie stali sztywno dziwnie cisi, nadęci, zawieszeni w półkroku, bez względu na równowagę, Przeszedłem tuż koło małego pieska, wiszącego w powietrzu, w trakcie skakania; patrzyłem na powolne ruchy jego łap, dążących do zetknięcia się z ziemią.

— Boże! Spójrz pan tutaj! — zawołał Gibberne.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed jakąś wspaniałą osobistością, w białym flanelowym garniturze w paski, w białych pantoflach i panamie. Pan ów oglądał się, robiąc oko do dwóch dam w jasnych sukniach. Tak zwane „oko”, studiowane bez pośpiechu, jakieś to czynili, mało jest pociągające. Traci charakter chwilowej wesołości: widać, że „oczkujące” oko nie domyka się zupełnie, a pod załzawioną powieką pojawia się dolna część tęczęwki i wąska linia białka,

— Niech Bóg mnie broni! — powiedziałem. — Więcej nie będę robił oka.

— Ani uśmiechał się — dodał Gibberne, badając zęby jakiejś mówiącej pani.

— Jest piekielnie gorąco — zauważyłem, — Nie chodźmy tak prędko.

— Co tam! W drogę!

Przeszliśmy pomiędzy krzesłami, rozstawionymi w alejach, Większość osób, siedzących tam, zachowała pozy naturalne, ale powykrzywiane purpurowe twarze muzyków wyglądały wprost niepokojąco, Czerwonolicy jegomość zamarł w gwałtownej walce z wiatrem o gazetę.

Wszystko świadczyło, że ta apatyczna publiczność wystawiona była na silny wiatr, wiatr, którego egzystencja nie przenikała do naszego czucia. Oddaliliśmy się trochę od tłumu, patrząc nań z daleka, Zaczynałem wierzyć w czary, patrząc na ten tłum, zamieniony na żywy obraz, wysztywniony i nieruchomy, jak grupa figur woskowych. Miałem entuzjastyczne, irracjonalne poczucie ogromnej wyższości nad tymi ludźmi co było oczywiście nonsensem.

Ale działał się cud! Wszystko, co pomyślałem, powiedziałem, zrobiłem, od kiedy preparat począł działać na mój organizm, było dziełem jednej chwili.

— „Nowy Akcelerator”... — zacząłem, ale Gibbern przerwał mi:

— Ah! jest i stara wiedźma!

— Jaka wiedźma!?

— Moja sąsiadka. Ma psa, który wciąż szczeka. Nie! Pokusa jest nazbyt silna.

Gibberne bywa czasami dziecinny i impulsywny. Nim mogłem temu zapobiec, pomknął, jak strzała, przed siebie, porwał nieszczęsne stworzenie i pobiegł, z nim pędem w kierunku skał nadbrzeżnych. Wyglądało to niesłychanie dziwnie. Zwierzątko nie szczekało, nie wrywało się, nie dawało w ogóle żadnego znaku życia. Pozostało w śpiącej pozycji, choć Gibberne trzymał je za kark. Zdawałoby się, że ten biegnący człowiek niesie psa z drzewa.

— Profesorze! — zawołałem. — Niech pan zostawi tego psa!

Zakląłem,

— Jeżeli pan będzie biegł w ten sposób — krzyczałem — zapali się na panu ubranie.

Pańskie płócienne spodnie już się tlą.

Dotknął się ręką ubrania i zatrzymał się z wahaniem na skale.

— Profesorze! — zawołałem raz jeszcze, podchodząc. — Niechże pan położy to stworzenie. Upał staje się nie do zniesienia! I jeszcze te pańskie wyścigi! Dwie albo trzy mile na sekundę! Tarcie powietrza...

— Co? — zapytał, patrząc na psa.

— Tarcie powietrza! — wrzasnąłem. — Tarcie powietrza! Nie można tak pędzić! Jak meteory, czy co, u diabła. Gorąco! Kłuje mnie całe ciało i wypociłem wszystko, co się dało.

Ale widać już, że ludzie zaczynają się powoli poruszać. Widocznie preparat przestaje działać.

Niechże pan zostawi tego psa!

— Co? — zapytał znowu.

— Preparat przestaje działać! — powtórzyłem. — Stanowczo jest tu za gorąco i preparat przestaje działać. Jestem cały mokry.

Patrzył na mnie uparcie. A potem spojrzał na orkiestrę, której zgrzytanie poczęło się przyśpieszać. W chwilę później, szerokim rzutem ramienia cisnął psa, który, kręcąc się, wciąż nieruchomy, zawisł nad grupą parasolek pewnego zagadanego towarzystwa. Gibberne

pochwycił mnie za łokieć.

— Do licha! — zawołał. — Zdaje się, że pan ma rację. Jakby klucie palące i... Tak! Ten człowiek porusza chusteczką. Widać, Trzeba stąd wiać.

Aleśmy nie mogli wiać. Na szczęście, zresztą. Bo gdybyśmy pobiegli, jak to było w naszej mocy, przypuszczam, że stanęlibyśmy niezwłocznie w ogniu.

Zapalilibyśmy się z całą pewnością. Rozumiecie, że żaden z nas nie pomyślał o tym wcześniej... Ale nimeśmy jeszcze zaczęli biec, preparat nagle przestał działać. Stało się to w ciągu ułamka sekundy. Działanie Akceleratora nagle znikło, jak kurtyna w teatrze, rozwiało się w mgnieniu oka. Usłyszałem głos Gibberne'a, strasznie zaniepokojony.

— Niech pan siada!

I — trach! siadłem na trawniku przy krawędzi Promenady, dymiący i przypalony. W miejscu, gdzie siedziałem, trawa do dziś jest wypalona. W tej samej chwili całe otoczenie zbudziło się z ogólnej stagnacji; nieartykułowane wibracje orkiestry rozebrzmiały muzyką, spacerowicze opuścili nogi i poszli dalej, papiery i chorągwie poczęły trzepotać się na wietrze, uśmiechy przelały się w słowa, elegancki przechodzień skończył „oczekowanie” i podążył z zadowoloną miną swoją drogą, a cały tłum począł poruszać się i mówić. Cały świat powrócił do życia, do życia w tym samym tempie, co i my, a raczej my poczęliśmy żyć w tym samym tempie, co i on. Jak gdyby przyjazd pociągu na stację! Przez sekundę świat zawirował koło mnie, poczułem lekkie mdłości — to wszystko. A mały piesek, który zdawał się wisieć w powietrzu, spadł na parasolkę jakiejś pani.

To nas uratowało! Gdyż pewien otyły, starszy pan, wyciągnięty na leżaku, zadrzał na nasz widok, spojrzął ponurym, podejrzliwym wzrokiem, a wreszcie powiedział coś do swojej pielęgniarce. Wątpię, czy ktokolwiek jeszcze spostrzegł naszą obecność. Paf! Od razu żeśmy się przestali przypalać, choć trawa pode mną wciąż jeszcze była nieprzyjemnie gorącą.

Uwaga wszystkich — wtaczając w to orkiestrę, która po raz pierwszy, jak głosi jej historia, zagrała fałszywie — uwaga wszystkich skupiła się na niezwykłym fakcie oraz na jeszcze bardziej nie — zwykłym szczekaniu i tumulcie: czcigodny, przetłuszczony szpic, śpiący spokojnie po zachodniej stronie estrady, spadł nagle na parasol damy, siedzącej po stronie wschodniej — i to z osmaloną sierścią, wskutek nieprawdopodobnej szybkości, z jaką leciał przez powietrze. I to w naszych absurdalnych czasach, gdy wszyscy starają się być „psychologiczni”, naiwni i przesądni, ile się tylko zmieści. Ludzie porwali się z miejsc, popychając jedni drugich, poprzewracano krzesła i przyleciał policjant. Jak się zakończyła cała awantura, nie mam pojęcia — za bardzo nam zależało, żeby się stamtąd wycofać i uniknąć pytających spojrzeń starego pana. Jak tylko żeśmy dostatecznie ochłodli i oprzytomnieli po zawrocie głowy, mdłościach i zamroczeniu umysłu, powstałiśmy z ziemi i okrążając tłum, przeszliśmy poza hotelem „Metropole” w stronę domu Gibberne’a. Zdążyłem jeszcze usłyszeć wyraźnie, jak pan, siedzący obok damy z podartą przez psa parasolką, rozprawiał się w sposób niezasłużony z człowiekiem, wynajmującym krzesła.

— Jeżeli to nie pan rzucił tego psa — krzychał — to któż w takim razie?

Nagły powrót znajomych ruchów i dźwięków, zrozumiały w takiej sytuacji niepokój — ubrania nasze były wciąż jeszcze rozprażone do niemożliwości, a przód spodni profesora zwęglił się zupełnie — przeszkodziły mi w zebraniu dokładniejszych obserwacji, tak, jak tego pragnąłem.

Szczerze mówiąc, nie poczyniłem na powrotnej drodze żadnych spostrzeżeń, które by posiadały wartość naukową. Pszczoła, naturalnie, odleciała. Kiedyśmy powrócili na ulicę Landgate poszukałem wzrokiem cyklisty, ale nie mogłem go już dojrzeć, albo może pojazdy go zasłoniły. Omnibus z pasażerami, żywymi i rozgadany, przejeżdżał sobie przez plac pod kościołem.

Zauważyliśmy po za tym, na parapecie okna, przez któreśmy wyszli z domu, nalot spalenizny, a ślady naszych stóp na żwirze alei były głębsze, niż zazwyczaj.

W ten sposób wypróbowałem na sobie po raz pierwszy działanie Akceleratora, Cała nasza wyprawa, podczas której biegaliśmy, gadali i widzieli najrozmaitsze rzeczy, trwała nie więcej, niż dwie sekundy. Przeżyliśmy pół godziny, podczas, gdy orkiestra zagrała może dwa takty. Mieliśmy wrażenie, że świat cały się zatrzymał, aby nam dogodniej było go obserwować. Zważywszy to wszystko, a zwłaszcza nasze lekkomyślne wyjście poza dom, należy wnioskować, że doświadczenie to mogło się znacznie gorzej zakończyć. Dowiodło ono w każdym razie, że choć Gibberne wiele będzie musiał pracować, nim przysposobi zupełnie swój preparat do użytku, jednakże możliwość istnienia eliksiru przyspieszającego została dowiedziona niezbicie.

Od tej przygody profesor pracuje nad udostępnieniem działania preparatu świadomej kontroli człowieka. Wielokrotnie bez żadnych złych skutków zażywałem pod jego kierunkiem niewielkie dozy eliksiru. Muszę się jednak przyznać, że dotychczas nie odważyłem się w jakim stanie wyjść poza dom. Dodam jeszcze, że na przykład, to opowiadanie napisałem pod działaniem preparatu na jednym posiedzeniu i bez przerwy, jeżeli nie liczyć chwili, kiedy odgryzłem kawałek czekolady. Zacząłem pisać o godzinie szóstej minut dwadzieścia pięć, a mój zegarek wskazuje obecnie minutę po wpół do siódmej. Wygoda, jaką daje wykonanie dłuższej i nieprzerwanej pracy w ciągu dnia, pełnego różnorodnych zajęć, jest nie do opisania, Gibberne pracuje obecnie nad dozowaniem preparatu, w zależności od jego działania na różne rodzaje organizmów ludzkich. Spodziewa się wynaleźć Opóźniacz albo Retardator, przy którego pomocy złagodzi nieco nadmierne efekty swego pierwszego preparatu. Opóźniacz będzie miał, oczywiście, działanie wręcz przeciwne, niż przyspieszacz; da on możliwość skurczyć kilka godzin zwykłego czasu do rozmiarów sekundy i w ten sposób pozwoli

zachować apatyczną beczynność, lodowaty brak ożywienia, w najbardziej podnieconym czy rozdrażnionym otoczeniu. Oba te wynalazki wywołają, niewątpliwie, przewrót w całym dotychczasowym życiu. W ten sposób wyzwolimy się z tej „Szaty Czasu”, o której mówi Carlyle. Akcelerator pozwoli skupić się z niezwykłą siłą w każdym wypadku, który będzie wymagał całej naszej energii i przytomności umysłu; Opóźniacz zaś pozwoli przetrwać spokojnie okresy przykre czy nudne. Może jestem nazbyt optymistycznie nastrojony w stosunku do Opóźniacza, który nie jest jeszcze odkryty, ale co się tyczy „Nowego Akceleratora” — niema żadnych wątpliwości. Można go będzie nabyć w małych, zielonych flakonach u każdego aptekarza, po cenie zapewnię dość wysokiej, ale nie nadmiernej, jeżeli się zważy jego niezwykle właściwości.

Będzie się nazywał „Akcelerorem Nerwowym Gibberne’a” i wynalazca sądzi, iż uda mu się spreparować go w trzech stopniach napięcia: 200°, 300° i 900°, które oznaczone będą etykietami: białą, różową i żółtą.

Nie ulega wątpliwości, że działanie preparatu umożliwi wykonanie rzeczy niezwykłych. Można będzie bowiem z jego pomocą dokonać czynów zarówno najwybitniejszych, jak i najbardziej zbrodniczych, wślizgując się, że tak powiem, w przerwy między normalnym czasem. Będzie łatwo nadużyć Akceleratora, jak wszystkich wielkich odkryć.

Przedyskutowaliśmy dokładnie tę stronę sprawy z profesorem i zadecydowaliśmy, że to już jest kwestia z zakresu medycyny sądowej, nie dotycząca i nas wcale. Poprzestaniemy na wyrobie i sprzedaży „Akceleratora Gibberne’a”, a jakie będą konsekwencje — zobaczymy.

NIEDOŚWIADCZONE WIDMO

Żywo stoją mi jeszcze przed oczyma okoliczności, w których Clayion opowiedział nam swą ostatnią historię. Siedział wtedy przy kominku, w starym dębowym fotelu, a tuż obok Sanderson palił fajkę, noszącą toż samo, co i on, imię. Był też z nami Evans i najwspanialszy

z aktorów, człowiek czarującej skromności — Wish.

Owej soboty przyszliśmy wszyscy przed południem do klubu „Mermaid”. Tylko Clayton nocował w klubie — i to dało początek jego historii. Graliśmy w golfa, póki się nie ściemniło, i po obiedzie odpoczywaliśmy w tym spokojnym, pogodnym nastroju, kiedy to chętnie słucha się zwierzeń i opowieści. Kiedy Clayton zaczął mówić, uważaliśmy, oczywiście, że zmyśla. Może i zmyślał — czytelnik będzie mógł wkrótce osądzić na równi ze mną. Zaczął opowiadanie, co prawda, w formie rzeczowej anegdoty, aleśmy to uznali za umiejętny chwyt dobrego opowiadacza,

— Słuchajcie — rzekł, patrząc przeciągle na deszcz iskier, sypiących się z polan drzewnych, gdy Sanderson poprawił ogień na kominku. — Wiecie, że spędziłem tutaj noc sam jeden. Prócz mnie, nie było żywej duszy.

— Z wyjątkiem służby — zaznaczył Wish.

— Która śpi w innym skrzydle domu — dodał Clayton. — Tak. Otóż...

Pykał powoli cygaro, jakby zastanawiając się, czy ma mówić dalej, Potem powiedział spokojnie:

— Złapałem upiora!

— Złapał pan upiora?! — rzekł Sanderson. — Gdzież on jest?

A Evans, admirujący ogromnie Clayтона, zawołał:

— Złapał pan upiora? Ach, jak to dobrze! Niech nam pan opowie, jak się to stało?

Clayton zgodził się, poprosił tylko, żeby zamknąć drzwi. Spojrzał na mnie, jakby z usprawiedliwieniem:

— Nikt nie podsłuchuje pode drzwiami, to pewne, ale po co straszyć służbę historiami o duchach. Za dużo jest tutaj ciemnych kątów i starych, dębowych boazerii. A to moje widmo nie było właściwie prawdziwym upiorem. Nie przypuszczam, żeby tu się pojawiło jeszcze

kiedykolwiek.

— To znaczy, że pan go nie zatrzymał? — zapytał Sanderson,

— Nie miałem serca — rzekł Clayton, Sanderson wyraził zdziwienie, myśmy się roześmieli, a Clayton miał twarz zasmuconą.

— Wiem — powiedział, usiłując się uśmiechnąć, — Ale to był naprawdę duch; jestem tego tak pewny, jak tego, że was widzę w tej chwili. Nie żartuję. Wiem, co mówię.

Sanderson zaciągnął się z fajki i utkwivszy w Claytonie skośne spojrzenie swych czerwonych oczek, zionął cienką smugą dymu, wymowniejszą, niż słowa.

Clayton zignorował ten komentarz.

— Jest to najdziwniejsze wydarzenie, jakie przytrafiło mi się w życiu. Wiecie dobrze, że nie wierzą w duchy ani w nic podobnego. Aż tu, nagle, znajdują takiego gościa w kącie i sam muszę się uporać z taką sprawą. Zamyślił się jeszcze głębiej, po czym obciął cygaro zabawnym instrumencikiem własnego wynalazku,

— Mówił pan z nim? — zapytał Wish.

— Przez jaką godziną.

— Rozmowny! — zauważyłem, stając w obozie sceptyków.

— Biedak był strasznie niespokojny — rzekł Clayton, z lekkim wyrzutem, patrząc na koniec swego cygara.

— Płakał? — zapytał ktoś, Clayton westchnął głęboko:

— Mój Boże! Tak! I po chwili:

— Tak! Biedny chłopak!

— Grzmotnąłeś go pan? — zapytał Evans z lekkim amerykańskim akcentem.

— Nie miałem pojęcia — rzekł Clayton, udając, że go nie słyszy — jak nieszczęśliwym stworzeniem może być takie widmo.

I znów pozostawił naszą uwagę w napięciu, szukając po kieszeniach zapalek.

— Miałem nad nim przewagę — dodał wreszcie. Nie okazywaliśmy zniecierpliwienia.

— Charakter człowieka — mówił — pozostaje bez zmiany, kiedy człowiek zbędzie się ciała. O tym nazbyt często zapominamy. Ludzie o silnej woli i zdecydowanym chceniu stają się duchami silnymi i zdecydowanymi — większość „straszących” upiorów musi pochodzić od maniaków, mono idealistów, ludzi upartych, jak kozły, żeby tak wracać ciągle i ciągle z powrotem. Ten biedak do takich nie należał.

Clayton rozejrzał się dziwnie i obszedł pokój dookoła.

— Mówię z całą życzliwością — zaznaczył. — Jest to zresztą najzupełniejsza prawda. Na pierwszy rzut oka upiór mój wydał mi się słabiutki,

Podkreślił swoje słowa ruchem ręki, trzymającej cygaro,

— Wpadłem na niego w tyra długim korytarzu, wiecie? Stał obrócony tyłem i ja ujrzałem go pierwszy. Był przezroczystry i białawy; widziałem lśnienie okienka w końcu korytarza poprzez jego postać. Wygląd ducha i zachowanie upewniło mnie o jego słabości. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział absolutnie, co ze sobą począć. Jedną ręką opierał się o boazerię, drugą, drżącą, zasłaniał usta. O tak!

— Jak wyglądał? — zapytał Sanderson.

— Chudy. Znacie te szyje młodzieńcze, które się kończą dwoma rowkami wzdłuż pleców, tu i tu, wiecie? Mała, głupawa główka, najeżone włosy, brzydkie uszy. Marne ramiona, węższe od bioder, wykładany kołnierzyk, krótka „gotowa” marynarka, nieodprasowane spodnie, wystrzępione nieco. Tak oto wyglądał. Wchodziłem spokojnie na schody. Nie miałem światła ze sobą, rozumiecie — lichtarze stoją w przedpokoju, a lampa jest tylko ta jedna — nosiłem miękkie pantofle i spostrzegłem go, kiedy już byłem na górze. Stałem, jak wryty, chcąc zdać sobie sprawę. Nie byłem ani trochę przestraszony. Przypuszczam, że w

większości podobnych wypadków, nie czuje się ani przerażenia, ani podniecenia. Byłem tylko zdziwiony i zaciekawiony. Myślałem sobie... Wielki Boże! Otóż i duch. A nie wierzyłem przecie ani na chwilę w duchy przez całych dwadzieścia pięć lat.

— Hm! — mruknął Wish.

Stałem od paru chwil na platformie schodów, nim widmo mnie spostrzegło. Odwróciło gwałtownie głowę i ujrzałem twarz niedojrzałego młodzieńca, krótki nos, zakręcone wąsiki, cofnięty podbródek. Tak staliśmy przez chwilę: on — patrząc na mnie ‘przez ramię, ja — mierząc go oczyma. Po chwili duch przypomniał sobie swoje wzniosłe powołanie. Zwrócił się do mnie, wyprostował, wysunął naprzód głowę, wyciągnął ręce w sposób, wypróbowany przez duchy — i zbliżył się do mnie. Opuścił przy tym szczękę i wydał słaby dźwięk: — „Buuu!” — No nie, moi drodzy, nie wyglądał strasznie. Byłem po obiedzie. Miałem w głowie butelkę szampana, a że sam siedziałem cały wieczór — wypilem dwa, trzy, a może cztery czy pięć kieliszków whisky. Czułem się silny, jak skała, i nie więcej przestraszony, niż gdyby napadła mnie żaba,

— Buuu! — powiedziałem. — Głupstwo! Pan nie jest z tego domu! Co pan tu robi?

Widziałem, że zadrżał.

— Buu — uu! — zahuczał.

— .Buuu! Bodajbyś wisiał! Jesteś członkiem klubu czy nie?

I chcąc mu pokazać, że niewiele mnie wzrusza, postąpiłem krok poprzez jego osobę, aby zapalić świecę.

— Jest pan członkiem klubu? — powtórzyłem, patrząc nań uparcie.

Odsunął się trochę ode mnie i nos mu się spuścił na kwintę.

— Nie — odrzekł, na uparte pytanie moich oczu. — Nie jestem członkiem klubu. Jestem duchem.

— Pięknie, ale to nie daje panu prawa latać po klubie „Mermaid”. Ma się tu pan z kim spotkać, czy co?

Zapaliłem świecę, panując nad swymi ruchami, gdyż nie chciałem, aby przypisał strachowi lekkie drżenie rąk po whisky. Podniosłem lichtarz do góry i spojrzałem na niego.

— Co pan tu robi ostatecznie?

Opuścił ręce i przestał huczeć. Stał, oszołomiony i niezaradny — widmo słabego, niezdecydowanego młodzika — głuptaka.

— Ja... straszę — wyjąkał.

— Niema pan nic lepszego do roboty? — zapytałem spokojnie.

— Jestem duchem — usprawiedliwiał się.

— Możliwe, ale to nie pańska rzecz straszyć tutaj właśnie. Tu jest przyzwoity, prywatny klub; przychodzą tu często ludzie z dziećmi i z niańkami. Może się zdarzyć, że jakiś gość wpadnie na pana i szlag go trafi ze strachu. Pomyślał pan o tym?

— Nie, proszę pana, nie pomyślałem.

— A trzeba było! Nie ma pan zresztą żadnego powodu, żeby przychodzić do klubu.

Zamordował tu kto pana, czy co?

— Nie, proszę pana. Tylko pomyślałem sobie, że dom jest stary i pełno boazerii...

— To nie jest wymówka, — Spojrzałem nań ostro. — Pan się pomylił — dodałem tonem przyjaznej wyższości.

Udałem, że szukam zapalek i popatrzyłem mu w oczy.

— Na pańskim miejscu, nie czekałbym na pianie koguta. Zniknąłbym czym prędzej...

Wydawał się zakłopotany.

— Widzi pan... — zaczął.

— Ja bym znikł — powtórzyłem.

— Kiedy, widzi pan... tego... kiedy ja nie mogę.

— Nie może pan?

— Nie, proszę pana. Zapomniałem czegoś — Pętam tu się od zeszłej nocy, kryję się w szafach i pustych pokojach, gdzie się zdarzy. Jestem całkiem ogłupiały. Nigdy jeszcze dotychczas nie straszylem i może dlatego tak mi nie idzie.

— Nie idzie panu?

— Tak, proszę pana. Próbowałem już parę razy — i nic. Jest taki jeden maleńki ruch, którego zapomniałem. I dlatego nie mogę zniknąć.

Było to, musicie przyznać, zastanawiające. Duch patrzył na mnie tak żałośnie, że za nic w świecie nie mógłbym go traktować ostro i z góry, jak uprzednio.

— To dziwne — powiedziałem.

Nagle wydało mi się, że słyszę czyjeś kroki na dole.

— Chodźmy do mego pokoju i tam mi pan wszystko opowie — dodałem — bo, jak dotychczas, niewiele rozumiem.

Chciałem wziąć go za rękę. Rezultat był taki, jakbym usiłował złapać kłęb dymu.

Zapomniałem, zdaje się, numeru swego pokoju. W każdym razie pamiętam, że wchodziłem do paru sypialni — były puste, ja jeden mieszkałem w klubie — zanim znalazłem swoje walizy.

— Jesteśmy — powiedziałem, siadając w fotelu. — Niech pan siada i opowie mi, co należy. Zdaje się, mój stary, żeś się grubo wsypał.

Duch odpowiedział, że wolałby nie siadać, że jeżeli mi wszystko jedno, to woli fruwać po pokoju. Tak też uczynił, a po chwili wdaliśmy — się w długą i poważną rozmowę. Wkrótce wódka wywietrzała mi z głowy i zrozumiałem, że się wdał w sprawę pieruńsko dziwną i niezwykłą. Duch unosił się przede mną w powietrzu, przezroczysty i cichy, choć obdarzony

głosem. Konwencjonalne widmo dziwnie wyglądało na tle miłego, obitego kretonem, pokoju

— Miedziane lichtarze, brązowy ekran przed kominkiem, ramy obrazów — przeświecały przezeń, a on opowiadał historię swego nic nieznaczącego życia, które tak niedawno zakończyło się na ziemi. Twarz jego nie była specjalnie ujmującą, ani uczciwą; ale rozumiecie: będąc tak przezroczysty, mógł mówić tylko prawdę.

— Jak to? — zawołał nagle Wish, wyprostowując się na krześle.

— O co chodzi? — zapytał Clayton.

— Był przezroczysty... musiał mówić prawdę... nie widzę związku! — zauważył Wish.

— Ani ja! — odrzekł Clayton, nie tracąc kontenansu. — Ale tak było, mogę pana zapewnić. Opowiedział mi, w jaki sposób umarł: zszedł do piwnicy ze świecą, gdyż gaz się ulatniał. Oznajmił mi, że był nauczycielem w jednej z prywatnych szkół londyńskich.

— Biedak — powiedziałem,

— Pomyślałem sobie toż samo, a im więcej duch mówił, tym bardziej wydawał mi się godny pożałowania, i w życiu, i poza życiem egzystencja jego nie miała żadnego celu. Mówił niechętnie i o ojcu, i o matce, i o nauczycielach, i o wszystkich, którzy mieli z nim jakąkolwiek styczność. Był nazbyt wrażliwy, nazbyt nerwowy; nikt go nie umiał zrozumieć ani ocenić — zapewniał. Przypuszczam, że nie miał nigdy prawdziwego przyjaciela; nigdy nie zaznał powodzenia. Nie umiał się bawić i ścinał się systematycznie na egzaminach.

— Bywają tacy ludzie — zapewniał. — Ilekroć wchodziłem do sali egzaminacyjnej, zapominałem języka w gębie.

Zaręczył się właśnie — z równie przeczuloną osobą, przypuszczam — kiedy nieudana wyprawa dla zatkania rury gazowej położyła kres wszystkiemu,

— A gdzie się pan właściwie teraz znajduje? — zapytałem, — Nie w...

Tłumaczył się niejasno. Mam wrażenie, że pozostaje on w niejasnym, przejściowym

okresie, w specjalnej jakby rezerwie dla dusz, które nie umiały wybrać pomiędzy grzechem i cnotą. Nie wiem wreszcie. Był on nazbyt samolubny, a za mało spostrzegawczy, aby mi dać pojęcie o tym, co się dzieje z Tamtej Strony, Sprzymierzył się z bandą podobnych sobie duchów — głupawych i słabowitych młodzieńców, noszących to samo imię chrzestne, którzy niewątpliwie mówili często o „straszeniu i tym podobnych rzeczach. Ba, kiedy owo „straszenie” przerażało przede wszystkim ich samych, więc też poczęli namawiać jego właśnie. Podzegli go tak długo, aż poszedł.

— No, wiecie! — powiedział Wish.

— Takie na mnie przynajmniej uczynił wrażenie — rzekł skromnie Clayton. — Być może nie byłem nastrojony krytycznie, ale na takim właśnie tle mi się zarysował. Fruwał więc sobie tu i tam po pokoju, a cienki głosik brzęczał, brzęczał, snując opowieść o swojej marniutkiej osobie. Wszystko tonęło w powodzi mętnych słów i niewyraźnych faktów. Był jeszcze mniejszy, marniejszy i mniej znaczący, niż za życia. Tyle tylko, że gdyby żył, nie tolerowałbym go ani chwili w swoim pokoju. Poczęstowałbym go kopnięciem gdzieś i — do widzenia!

— To prawda — zauważy! Evans — zdarzają się śmiertelnicy tego pokroju.

— I równie jest prawdopodobne, że mogą zostać upiorami, jak każdy z nas — dodałem,

— Do pewnego stopnia zaciekawiała mnie rozpacz ducha z tego właśnie powodu, że się tu znalazł. Nieudana próba „straszenia” przygnębiła go ogromnie. Opowiadano mu, że to będzie „pyszny kawał”; poszedł więc w tej nadziei, tymczasem jedno jeszcze niepowodzenie uwieńczyło jego dotychczasowe rekordy, Uznał sam, że jest zdecydowanym pechowcem. Zapewniał, a ja uwierzyłem mu z łatwością, że wszystko, czego dokonał w ciągu całego życia, nadawało się po prostu na szmelc — i że tak już będzie przez całą wieczność.

Jednakże, gdyby ktoś go obdarzył odrobiną sympatii... Urwał, patrząc na mnie wyczekująco,

Potem dodał, że choć może się to wydać dziwne, nikt jeszcze, ale to nikt dotychczas nie okazał mu takiej sympatii, jak ja właśnie. Zrozumiałem, do czego zmierza, i postanowiłem uwolnić się od niego czym prędzej. Może jestem brutalem, ale okazać się „jedynym prawdziwym przyjacielem”, zmuszonym wysłuchiwać zwierzeń takiego charłackiego egoisty — było ponad moje siły. Podniosłem się gwałtownie.

— Niech pan się za bardzo nad tym wszystkim nie rozwodzi — powiedziałem, — Jedyne, co panu teraz pozostaje, to wiać — i to czym prędzej. Niech się pan zbierze do kupy i próbuje!

— Nie mogę! — jęknął,

— Trzeba spróbować! Zaczął więc próbować.

— W jaki sposób? — zapytał Sanderson.

— Robił passy — odparł Clayton.

— Passy? ,

— Szereg skomplikowanych gestów i pociągnięć rękami. W ten sposób przedostał się do materialnego świata, w ten też sposób chciał powrócić na Tamtą Stronę. Boże święty, ile miałem z tem zachodu!

— Tylko, jak może szereg gestów... — zacząłem.

— Mój drogi panie — rzekł Clayton, odwracając się do mnie i wymawiając niektóre słowa ze szczególnym naciskiem — pan chciałby wszystko zrozumieć. Alboż ja mam pojęcie, jak może szereg gestów... i tak dalej? Tyle wiem, co i pan, tyleż, co i on sam — prawdopodobnie. Po nieskończeniu długich próbach, zrobił jakiś ruch właściwy i nagle znikł,

— Czy pan — zapytał powoli Sanderson — zaobserwował dobrze te ruchy?

— Tak — rzekł Clayton w zamyśleniu. — Było to niesłychanie dziwne. Pośród uśpionego miasta, w pustym budynku, w cichym pokoju — ja i ten mętny duch. Nigdzie dźwięku,

słysząc tylko nasze głosy i lekkie sapanie gestykulującego upiora, Na stoliku nocnym i na toalecie paliły się świece — czasem któraś rozbłyskała długim cienkim, jakby zdziwionym płomieniem. A niezwykła sytuacja trwała,

— Nie mogę... — powtarzał, — Nigdy nie potrafię... Usiadł nagle na krześle w nogach łóżka i począł zanosić się od płaczu. Boże! cóż za płaczliwe, nużące stworzenie!

— No, no, spokojnie — powiedziałem, chcąc go poklepać po ramieniu, ale... moja przeklęta ręka przeszła przez niego na wskroś. Wtedy już nie byłem tak ociężały, jak wtedy, kiedym go spotkał na schodach. Rozumiałem dziwność zdarzenia w całej rozciągłości.

Pamiętam, że wyciągnąłem z niego rękę, zadrżałem i podszedłem do stołu,

— Odwagi, trzeba jeszcze próbować — powiedziałem.

I żeby go zachęcić, począłem i ja robić próby,

— Jak to? — zakrzyknął Sanderson — passy?

— A tak — passy.

— Ależ... — zacząłem, ale w tejże chwili zapomniałem, o czym chciałem mówić.

— To bardzo ciekawe — zawołał Sanderson, przyciskając palcem tytoń w fajce. — Pan powiada, że ten duch odsłonił panu tajemnicę...

— Robił, co mógł, aby mi odsłonić sposób przebycia owej przeklętej granicy. Tak.

— Niemożliwe! — zawołał Wish. — Nie mógł tego zrobić. Inaczej pan by zniknął razem z nim.

— O właśnie — dodałem, przypominając sobie, że to właśnie chciałem powiedzieć.

— Ależ właśnie, właśnie — rzekł Clayton, patrząc w zamyśleniu na ogień.

Przez chwilę panowała cisza.

— Udało mu się wreszcie? — zapytał Sanderson.

— Tak. Dużo mnie to kosztowało wysiłku, ale wreszcie dopiął swego — dość gwałtownie.

Stracił już nadzieję, zrobiłem mu scenę. Wstał więc z determinacją i poprosił, abym przerobił powoli przed nim wszystkie ruchy.

— Spodziewam się, że patrząc, będę mógł się zorientować, co jest właściwie nie w porządku,

Tak też się stało.

— Wiem! — Zawołał nagle.

— Co pan wie?

— Wiem już, wiem — powtarzał.

A potem dodał z niezadowoleniem:

— Niech pan nie patrzy na mnie; tak, to ja nie mogę. Właściwie od początku pański wzrok mi przeszkadzał. Jestem tak nerwowy i pan mnie onieśmiela,

Trochęśmy się pokłócili. Ja, naturalnie, chciałem patrzeć, ale on upierał się, jak kozioł.

Czułem się bardzo zmęczony — taki gość może wyczerpać — więc w końcu uległem.

— Dobrze już, dobrze — powiedziałem — nie będę patrzył.

To mówiąc, odwróciłem się w stronę lustra, wiszącego nad toaletą.

Duch począł gestykulować z ogromną szybkością. Śledziłem bacznie jego ruchy w lustrze, usiłując dojrzeć gest, którego zapomniał uprzednio. Obracał rękami i dłońmi, tak, tak i tak i wreszcie pośpiesznie wykonał gest ostatni — stanął wyprostowany i rozwarł ramiona — tak stał przez chwilę, I nagle znikł. Znikł. Odwróciłem się od lustra. Ani żywej duszy! Byłem sam, wzburzony do żywego, świece migąły. Co się stało? I czy się w ogóle coś stało? Czy wszystko mi się śniło? I wtem, jakby chcąc zakończyć dziwne zdarzenie, zegar na schodach wybił pierwszą. Po prostu, tak... ping! Byłem poważny i trzeźwy, jak sędzia; cała wódka i szampan wywietrzały mi już dawno z głowy. Czułem się dziwnie, rozumiecie — bardzo dziwnie. Boże święty!

Patrzył przez chwilę na popiół cygara.

— To wszystko,

— A potem położył się pan do łóżka? — zapytał Evans.

— Cóż miałem lepszego do roboty? — Spojrzałem na Wish'a. Mieliśmy ochotę pożartować, ale było coś w głosie i zachowaniu Claytona, co nas powstrzymało.

— A te passy? — zapytał Sanderson.

— Zdaje się, że potrafiłbym je wykonać i teraz,

— Ach! — zawołał Sanderson i wyjąwszy scyzoryk, począł wyskrobywać wnętrze fajki,

— Dlaczegożby pan nie miał nam pokazać? — dodał, zamykając z trzaskiem scyzoryk.

— Właśnie mam zamiar to zrobić — rzekł Clayton.

— Ależ, to się panu nie uda! — zawołał Evans.

— Ale jeżeli... — zauważyłem.

— Wie pan co, niech pan lepiej nie próbuje — powiedział Wish, wyciągając nogi.

— Dlaczego? — spytał Evans.

— Lepiej nie próbować — powtórzył Wish.

— Niekoniecznie musi robić wszystko po porządku — zauważył Sanderson, pakując wielką szczyptę tytoniu do fajki.

— W każdym razie, lepiej nie zaczynać — rzekł Wish.

Posprzeczałiśmy się z Wish'em. Twierdził on, że nie można robić szopki z czegoś, co dla Claytona było poważnym przeżyciem,

— Ależ pan przecie nie wierzy...? — powiedziałem.

Wish spojrzał na Claytona, który patrzył uparcie w ogień, jakby ważąc się z myślami.

— Wierzę... więcej, niż połowie. Wszystkiemu wierzę — odrzekł,

— Panie Clayton — powiedziałem — pan umie świetnie zmyślać. Pańska historia jest

doskonale zrobiona. Nawet to zniknięcie ducha — bardzo przekonujące. Niech pan powie, wszystko to jest bajka, prawda?

Clayton wstał, nie zwracając uwagi na moje słowa, i stanął wprost mnie, na środku dywanu. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu na swe stopy, a potem utkwił wzrok w przeciwległej ścianie, z wyrazem napięcia. Podniósł powoli obie ręce na wysokość oczu i rozpoczął...

Otóż, Sanderson jest masonem, członkiem Loży Czterech Królów, która poświęca się studium nad dawnymi i obecnymi tajemnicami Masonerii; a wśród członków owej Loży, Sanderson nie jest ostatni. Patrzył na ruchy Claytona z ogromnym zaciekawieniem.

— Nieźle — nieźle — zawołał, kiedy ten skończył. — Doskonale pan to robi, panie Clayton. Brakuje tylko jednego szczegółu.

— Wiem — rzekł Clayton. — Mogę nawet panu powiedzieć — jakiego.

— No?

— Tego — odparł Clayton, skręcając i wyrzucając naprzód dłoń.

— Tak.

— Właśnie tego ruchu on zapomniał. Ale jakim sposobem pan...?

— Nie rozumiem większej części pańskiej historii, a głównie, skąd ona przyszła panu do głowy — odrzekł Sanderson. — Ale te ruchy — znam. — Zamyślił się. — Jest to serja gestów, związanych zjedną z gałęzi Ezoterycznej Masonerii... Najwidoczniej pan je znał...

Bo inaczej — jak? Zastanowił się znowu.

— Sądzę, że mogę panu pokazać właściwy sposób wykonania tego ruchu. Ostatecznie, jeżeli pan potrafi, to dobrze, a nie, to jeszcze lepiej.

— Umiem tylko tyle, ile mnie nauczył mój duch — zapewnił Clayton.

— Otóż, rzecz się przedstawia tak — rzekł Sanderson, kładąc ostrożnie fajkę na kominku.

Po czym wykonał kilka szybkich ruchów rękami,

— Tak? — zapytał Clayton, naśladując go.

— Tak właśnie — odrzekł Sanderson, biorąc z powrotem fajkę.

— No, teraz będę mógł przerobić poprawnie całą serię — rzekł Clayton,

Stanął przed gasnącym ogniem i uśmiechnął się do nas; dojrzałem jednak pewne wahanie w tym uśmiechu.

— Jeżeli zacznę...

— Niech pan nie zaczyna — rzekł Wish.

— Ależ, dlaczego?! — zawołał Evans. — Materja jest niezniszczalna. Nie myślicie chyba, że te wszystkie hokus — pokus przesiedlą Claytona do krainy cieniów. Ależ! Niech pan próbuje, panie Clayton, aż się panu nie poobrywają ręce.

— Nie zgadzam się! — zawołał Wish, wstając i kładąc rękę na ramieniu Claytona. —

Wierzę w pańską historię i nie chcę, żeby pan robił te sztuki.

— Patrzcie — zawołałem — Wish ma pietra!

— Tak, to prawda — odparł Wish z udaną czy prawdziwą powagą. — Jestem pewien, że jeżeli Clayton wykona te wszystkie ruchy, to — zniknie.

— Nigdy w życiu! — zawołałem, — Jest tylko jeden sposób zejścia z tego świata, a

Ciayton ma przed sobą najmniej trzydzieści lat życia. Pomyślcie tylko! Coby z niego był za duch!

Wish przerwał mi gwałtownym gestem. Począł chodzić szybko pomiędzy krzesłami i wreszcie stanął przy stole,

— Clayton — zawołał — jesteś szalony! Clayton, z wesołym płomykiem w oczach, uśmiechnął się do niego.

— Wish ma rację — powiedział — a wy wszyscy jesteście w błędzie. Ale spróbuję!

Przerobię wszystkie passy do końca, a kiedy uczynię ostatni — raz, dwa, trzy — dywan okaże się pusty, w pokoju zapanuje zdumienie, a przyzwoicie ubrany jegomość, wagi dziewięćdziesięciu kilo, wpadnie z łoskotem do krainy cieniów. Jestem tego pewny. Dosyć dyskusji. Zaczynamy doświadczenie!

— Nie! — zawołał Wish, postępując krok naprzód, ale Clayton podniósł ręce i począł wykonywać tajemnicze ruchy.

Znajdowaliśmy się wszyscy w stanie ogromnego napięcia — być może przyczynił się do tego Wish. Siedzieliśmy wkoło, utkwivszy wzrok w Claytonie — ja, przynajmniej, dziwnie sztywno, jakby ciało moje od karku do krzyża zmieniło się w sztabę żelazną. Tymczasem Clayton z powagą i pogodą nachylał się, kołysał, potrząsał rękami i dłońmi. Kiedy zbliżył się do końca, zaszczekały mi zęby. Ostatni ruch, jakim to już powiedział, polegał na rozwarciu ramion i przechyleniu w tył głowy. Kiedy doszedł do tego gestu, przestałem oddychać. Było to śmieszne, prawda, ale wiecie dobrze, jakie wrażenie sprawiają historię o duchach. Działo się wszystko po kolacji, w dziwnym, starym, mrocznym domu. Czy naprawdę...?

Clayton stał przez chwilę z rozwartymi ramionami i podniesioną głową, pewny siebie i uśmiechnięty w świetle lampy. Chwila ta zdawała się trwać wieczność, aż nagle z piersi naszych wydarło się westchnienie ulgi i radosne: — „Nie!” — Gdyż Clayton, jak to było oczywiste, nie zniknął. Wszystko to były głupstwa. Opowiedział po prostu fantastyczną historię i trzymał nas w napięciu przez pewien czas. To wszystko.

Lecz nagle twarz Claytona poczęła się mienić. Mieniła się. Mieniła się, jak dom, kiedy poczną w nim nagle gasić światła. Oczy jego nagle znieruchomiały, uśmiech zastygł na wargach. Stał jeszcze chwilę, kołysząc się z lekka,

I chwila ta trwała wieczność, A potem, rozumiecie, krzesła poprzewracały się z łoskotem, wszyscyśmy zerwali się z miejsc, Claytonowi ugięły się kolana, upadł, jak długi, a Evans

pochwycił go w ramiona.

Zdrętwieliśmy, Nie znajdowaliśmy słów. Nie wierzyliśmy własnym oczom... Kiedym przyszedł nieco do siebie, klęczałem koło Claytona, Sanderson rozpinał mu kamizelkę i koszulę i kładł rękę na sercu.

Tak — nie było się co śpieszyć; prosty fakt, któreśmy mieli przed oczyma, mógł zaczekać na wytłumaczenie. Trup Claytona leżał godzinę wśród nas, leży i teraz w mej pamięci, jak czarny, straszliwy cień. Clayton przeszedł granicę, tak bliską i tak odległą, przeszedł ją w jedyny sposób, jaki jest dostępny człowiekowi. Ale czy stało się to przy pomocy zaklęć biednego widma, czy po prostu zabiła go apopleksja — jak to ustaliło śledztwo — nie wiem. Jeszcze jedna zagadka, której nie wyjaśni się prędzej, aż znajdziemy ostateczne rozwiązanie tajemnicy. Wiem tyle tylko, że we właściwym momencie, we właściwej chwili, wykonując ostatni ruch, Clayton zmienił się, zachwiał i padł przed nami — nieżywy.

CZŁOWIEK, KTÓRY ROBIŁ CUDA

Pantoum prozą

Nie wiadomo, czy dar ten był mu wrodzony. Mojem zdaniem, naszedł on go niespodzianie. Bo przecież do trzydziestego roku życia był sceptykiem i nie wierzył w siły nadprzyrodzone. Ale nim przystąpię do rzeczy, zaznaczę na wstępie, ponieważ już tak jest przyjęte, że był to mały człowieczek, o piwnych oczach, włosach rudych, bardzo szczęciastych, wąsach, zakręconych do góry, i piegowatej twarzy. Nazywał się Georgie Mac Whirter Fotheringay — nazwisko, nie nasuwające żadnej myśli o cudach — i był urzędnikiem w Gomshott. Miał on wielką skłonność do kategorycznych twierdzeń. I właśnie, kiedy z największym ferworem dowodził niemożliwości cudów, po raz pierwszy zeszło nań objawienie jego własnych w tej dziedzinie zdolności. Dyskusja odbywała się w barze „Pod długim smokiem”, a Toddy Beamish reprezentował opozycję, powtarzając monotannie, lecz znacząco:

— Tak pan sądzi?

Co wyprowadzało mister Fotheringay'a z równowagi,

W barze, poza nimi dwoma, znajdowali się jeszcze: straszliwie zakurzony cyklista,

właściciel baru — Cox, oraz miss Maybridge, wielce szacowna i wielce zażywna kelnerka.

Miss Maybridge myła szklanki, obrócona tyłem do mister Fotheringay'a; reszta patrzyła nań,

mniej lub więcej ubawiona bezpłodnością jego dowodzeń. Podniecony kunktatorską taktyką

mister Beamish'a, mister Fotheringay zdecydował się na niezwykle zwrot retoryczny:

— Zaraz, zaraz, panie Beamish, należy się najpierw porozumieć, czym jest cud? Jest to coś sprzecznego z prawami natury, coś, czego się dokonuje tylko Siłą Woli, coś, co się nie stanie, jeżeli się tego specjalnie nie zechce.

— Tak pan sądzi? — zapytał mister Beamish tonem odpornym.

Mister Fotheringay zaapelował do cyklisty, który dotychczas ograniczał się do roli

biernego słuchacza, i uzyskał jego zgodę — co prawda, po krótkim wahaniu i spojrzeniu w

stronę mister Beamish'a. Właściciel baru wolał nie wypowiadać się w tej kwestii. Mister

Fotheringay, zwróciwszy się ponownie w stronę Beamish'a, uzyskał odeń niespodziewaną

zgodę na swoją definicję cudu,

— A więc — powiedział mister Fotheringay, nabrawszy otuchy — cóż będzie cudem? Na

przykład: lampa w zwykłym biegu rzeczy nie może się palić płomieniem w dół. Prawda,

panie Beamish?

— Pan tak sądzi? — odrzekł Beamish,

— No, dobrze, ale pan? — zawołał mister Fotheringay. — Jak pan sądzi, co?

— No, nie — przyznał Beamish niechętnie, — Nie może się tak palić.

— Doskonale! — rzekł mister Fotheringay. — A teraz wyobraźmy sobie, że ktoś,

powiedzmy — ja, podchodzi bliżej, staje, jak ja w tej chwili, i powiada, natężając całą siłę

woli: — „Obróć się do góry nogami, nie stłucz się i pal się dalej!” — i... Co to?!

Powody były dostateczne, aby tak zawołać: — „Co to?!” — Stała się rzecz niemożliwa, niewiarogodna. Lampa zawisała do góry nogami w powietrzu z płomieniem, skierowanym wdół, paląc się spokojnie. Było to tak pewne, tak niewątpliwe, jak samo istnienie tej lampy — prozaicznej, zwykłej lampy z baru „Pod długim smokiem”.

Mister Fotheringay stał z wyciągniętym palcem i zmarszczonemu brwiami, w nieruchomym oczekiwaniu katastrofy i trzasku tłukącego się szkła. Cyklista, siedzący w pobliżu lampy, skulił się i odskoczył w bok. Każdy z obecnych podskoczył, mniej lub więcej. Miss Maybridge obejrzała się i jęknęła. W ciągu trzech sekund lampa tkwiła nieruchomo. Słaby krzyk rozpaczony wydobył się z ust mister Fotheringay’a.

— Nie zniosę tego dłużej! — zawołał. Cofnął się, a przewrócona lampa zamigotała, spadła na brzeg lady sklepowej, odskoczyła, rozbiła się w kawałki na podłodze i zgasła.

Szczęśliwie, rezerwuar był metalowy, inaczej wszystko stanęłoby w płomieniach.

Pierwszym przemówił mister Cox, a jego opinia, najeżona przykrymi uwagami, głosiła, że Fotheringay jest wariatem.

Fotheringay nie podjął dysputy nawet w tak kapitalnym przedmiocie. Był zaskoczony ponad wszelką miarę niesłychanym wydarzeniem. Dyskusja, która się potem wywiązała, nie przelała absolutnie światła na czynność Fotheringay’a; opinia ogólna poparła zdanie mister Coxa, jednomyślnie i gwałtownie. Oskarżono Fotheringay’a o głupie kawały i usiłowano mu wmówić, że dla dziecinnej zabawki nie waha się narazić na szwank ogólnej wygody i bezpieczeństwa. W głowie biedaka był zamęt: zgadzał się ze wszystkimi i próbował stawić bezpłodny opór, gdy mu zaproponowano opuszczenie lokalu.

Wracał do domu, purpurowy i zadyszany, w zmiętoszonym kołnierzyku. Paliły go uszy, bolały oczy. Spoglądał nerwowo i podejrzliwie na każdą uliczną latarnię. Dopiero, kiedy się

znalazł w swojej małej sypialni na Churd Row, zebrał do kupy wspomnienia i zapytał sam siebie poważnie:

— Co się właściwie stało?

Zrzucił marynarkę i buty, po czym — usiadł na łóżku z rękoma w kieszeniach, powtarzając po raz siedemnasty:

— Ależ ja nie chciałem przewrócić tej przeklętej lampy.

I nagle, przyszło mu na myśl, że przecież wówczas, kiedy wydawał rozkaz lampie, skupił bezwiednie całą wolę i chcenie, a później, gdy już lampa wisiała płomieniem w dół, czuł wyraźnie, że od niego zależy utrzymać ją w powietrzu, choć nie wiedział dobrze, w jaki sposób. Mister Fotheringay nie był obdarzony nazbyt dociekającym umysłem, inaczej wdałby się w rozważanie zagadnień, dotyczących „bezwiednej woli”, a sięgających najbardziej abstrakcyjnych problemów woli i czynu. Panu Fotheringay jednak cała sprawa przedstawiła się z uspokajającą mglistością. I dlatego, nie wychodząc z żadnych logicznych przesłanek, sięgnął po świadectwo eksperymentu.

Wyciągnął z determinacją palec w stronę świecy i skupił się, choć czuł, że robi głupstwo:

— Podnieś się! — powiedział.

Wszystkie jego wątpliwości rozwiały się od razu. Świeca uniosła się i zawisła w powietrzu na przeciąg chwil paru, a kiedy mister Fotheringay odetchnął, opadła z trzaskiem na toaletę, zostawiając go w ciemnościach, nie rozjaśnionych nawet słabym żarzeniem się gasnącego knota.

Przez chwilę mister Fotheringay siedział w ciemnościach nieruchomo,

„Niema gadania, stało się — pomyślał. — Ale, jak to wytłumaczyć, nie mam pojęcia.

Westchnął posępnie i począł szukać zapalek w kieszeniach. Nie znalazł ani jednej, więc, pomacawszy jeszcze bezskutecznie blat stolika, pomyślał:

...Dobrze by było mieć zapalną.

Poszukawszy jeszcze w marynarce i nic nie znalazłszy, wpadł na myśl, że cuda są możliwe nawet z zapalnikami, więc powiedział:

...Niech będzie w mojej ręce zapalnik!

I od razu poczuł lekki przedmiot, spadający mu na dłoń, a palce jego pochwyciły żadaną zapalnik.

Nie udawało się jednak jej zapalić; zrozumiał, że była to zapalnik fosforowa. Rzucił ją, ale nagle przyszło mu na myśl, że mógłby ją zapalić swoją wolą. Uczynił tak i ujrzał, że zapalnik pali się w samym środku serwetki, pokrywającej toaletę. Zgasił ją ze złością. Mister Fotheringay począł coraz szerzej rozumieć własne możliwości, kazał więc natychmiast świecy umieścić się w lichterzu,

— Tak! A teraz pal się! — powiedział.

Kiedy świeca zapłonęła, w środku serwetki ukazała się czarna, wypalona dziura z wijącą się jeszcze wąską strużką dymu. Przez pewien czas cudotwórca to patrzył na mały płomyk, to rozglądał się dookoła, aż wreszcie zobaczył w zwierciadle swoje własne, wytrzeszczone oczy. Począł więc rozmawiać z sobą w milczeniu.

— Co tam słyszeć z cudami? — spytał się wreszcie swojego odbicia.

Dalsze rozmyślenia mister Fotheringay'a były mętne, choć nieskomplikowane. Jak mu się zdawało, działał wyłącznie samą wolą. Skutki dotychczasowych doświadczeń mogły go raczej zniechęcić do dalszych prób. Nie mógł oprzeć się jednak pokusie: podniósł w powietrze arkusz papieru, kazał wodzie w szklance przybrać kolor najpierw Różowy, potem zielony, stworzył ślimaka, którego później czarodziejską siłą unicestwił, i ofiarował sam sobie wspaniałą szczoteczkę do zębów. Po godzinie przyszedł do wniosku, że jego siła woli musi być szczególnie intensywną i rzadką, fakt, który był skłonny uznać i poprzednio, ale nie bez

pewnego wahania. Przestach i zdumienie, towarzyszące pierwszej próbie, zamieniły się teraz na dumę i niejasne jeszcze poczucie wyższości. Usłyszał nagle, że zegar kościelny wybił pierwszą, a ponieważ nie przyszło mu jeszcze na myśl, że mógłby się w cudowny sposób zwolnić ze swych obowiązków w Gomshott, postanowił rozebrać się i położyć niezwłocznie do łóżka.

Kiedy walczył z koszulą, która nie chciała za nic przejść mu przez głowę, uderzyła go niespodziewanie świetna myśl.

— Chcę być w łóżku — powiedział.

Tak też się stało.

Rozebrany, poprawił się, a że prześcieradła były chłodne, dodał gniewnie:

— I w nocnej koszuli... nie, w nowej, miękkiej, wełnianej koszuli. Ach! — zawołał z najwyższą radością. — A teraz chcę prędko zasnąć...

Obudził się o zwykłej porze i rozmyślał cały czas, jedząc śniadanie. Ważył, czy wczorajsza przygoda nie jest tylko niezwykle jaskrawym snem. Postanowił znów poczynić parę ostrożnych prób. Zafundował więc sobie trzy jajka na śniadanie: dwa przygotowała uprzednio gospodyni, niezłe, ale wapienne, za to trzecie zjawilo się nagle na jego specjalne żądanie — pyszne, gotowane gęsie jaja. Mister Fotheringay pojechał do Gomshott w stanie głębokiego, utajonego podniecenia. Cały dzień nie mógł pracować, gdyż świadomość własnej siły wytrącała go z równowagi; nie pociągnęło to za sobą żadnych przykrych konsekwencji, gdyż wykonał cudownie całą robotę w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Z upływem dnia stan jego umysłu skłaniał się coraz bardziej od zdumienia do ogromnej pychy, chociaż nie bardzo przyjemnie było wspominać szczegóły opuszczenia baru „Pod długim smokiem”, tym bardziej, że kolorowane nieco relacje kolegów mogły dać powód do pewnych plotek. Niewątpliwie, należało być ostrożnym, gdy się miało do czynienia z przedmiotami kruchymi,

jednakże nowoodkryty talent rokował Fotheringay'owi nowe i coraz to wspanialsze możliwości. Między innymi, zamierzył powiększyć swój stan posiadania przy pomocy paru dyskretnych cudów. Powołał więc niezwłocznie do życia parę przepysznych spinek diamentowych i unicestwił je pośpiesznie, gdy młody Gomshott wszedł do kantora i usiadł przy swym biurku. Cudotwórca przeląkł się, że młody pryncypał zapyta, skąd je wziął. Rozumiał dobrze, że tak niezwykły dar wymaga ostrożności i nieustannego baczenia, ale nie przypuszczał, aby niebezpieczeństwa mogły być większe, niż ongiś w welodromie, gdy chciał zostać cyklistą. Zapewne owa analogia, zarówno, jak przeświadczenie, że nie będzie mile widziany „Pod długim smokiem”, wyгнаły go po kolacji w wąską uliczkę za gazownią, gdzie postanowił przerobić sobie w spokoju kilka cudów.

Cuda mister Fotheringay'a nie odznaczały się oryginalnością, albowiem poza niezwykłym swoim darem, nie był on nadmiernie wybitnym człowiekiem. Przypomnił mu się cud Mojżesza, ten z laską, ale noc była ciemna i nie sprzyjałaby kontrolowaniu cudownych węży. Potem przyszła mu na myśl historia Tanhausera, którą niegdyś przeczytał w programie „Filharmonii”. Wydała mu się niezwykle pociągającą i nieszkodliwą. Wetknął więc laskę swoją w trawnik i rozkazał zakwitnąć suchemu drzewu. Powietrze napełniło się zapachem róż i mister Fotheringay, zapaliwszy zapalną, mógł sam stwierdzić, że cud spełnił się, co do joty. Odgłos zbliżających się kroków położył kres jego satysfakcji. Przerażony możliwością przedwczesnego ukazania światu swoich talentów, mister Fotheringay zawołał z niecierpliwością:

— Wróć!

Co miało znaczyć:

— Zniknij!

Laska cofnęła się z wielką szybkością, a jednocześnie rozległ się okrzyk gniewu i wymysły

nadchodzącej osoby.

— Będziesz się ciskał cierniami, stary wariacie? — zawołał głos — trafiło mnie w nogę!

— Bardzo mi przykro, mój staruszk — odrzekł mister Fotheringay i spodziewając się przykrych wyjaśnień, począł nerwowo targać wąsa. Nie było mu też wcale przyjemnie, kiedy ujrzał zbliżającego się Winch'a, jednego z trzech policjantów sławetnego miasta Immening,

— Czego się pan rozbija? — zapytał posterunkowy. — Co jest? Ah, jesteśmy w domu! To gość, który potłukł lampę „Pod długim smokiem”.

— Wcale się nie rozbijam — odrzekł mister Fotheringay.

— Dlaczegoś pan to zrobił?

— Zawracanie głowy!

— Tak, zawracanie! Toś pan nie pomyślał, że kij może uderzyć? Po cóż pan to zrobił?

Przez chwilę mister Fotheringay nie umiał odpowiedzieć, po co to robił. Milczenie jego rozgniewało mister Winch'a,

— Pan stawia opór władzy w ten sposób!, Tak, panie, to jest opór władzy!

— Ależ, panie Winch — tłumaczył się mister Fotheringay, zmieszany i zawstydzony, — Bardzo mi przykro. Ale chodzi o to.”

— No?

Nie widział innego wyjścia, nad prawdę,

— Po prostu zrobiłem cud.

Chciał mówić otwarcie, ale mu przerwano:

— Zrobił pan... Co mi pan zawraca kontrafałdę. Cud zrobił, patrzcie go! Nie, koń by się uśmieł! I ten tu nam opowiadał, że nie wierzy w cuda. A najzwyczajniej, to jest znowu jedna z pańskich głupich magicznych sztuczek, A teraz ja panu powiem....

Ale mister Fotheringay nigdy już nie usłyszał, co mister Winch chciał mu powiedzieć.

Zrozumiał, że dał się ludziom w ręce, że rzucił swój sekret na cztery wiatry. Gwałtowny poryw gniewu popchnął go do czynu. Szybkim, dzikim ruchem zwrócił się do policjanta, — Mam dosyć tego! — zawołał — dosyć! Ja ci pokażę głupie magiczne sztuczki! Idź do diabła! Rozumiesz!

I policjant znikł.

Mr, Fotheringay nie dokonał tej nocy żadnych nowych cudów, ani nie zatroszczył się nawet, co się stało z jego kwitnącą laską. Powrócił do miasta przestraszony trochę, ale spokojny, a kiedy znalazł się w swojej sypialni, powiedział:

— Boże święty, to jest wielka siła — bardzo wielka siła! Nawet nie wiedziałem, że do tego stopnia. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Ciekaw jestem, jaki jest ten diabeł?

Usiadł na łóżku, zdejmując buty. Pod natchnieniem szczęśliwej myśli przeniósł policjanta do San Francisco i nie wtrącając się więcej do niczego, normalnym sposobem, skromnie, położył się do łóżka. W nocy śniła mu się bezsilna wściekłość Winch'a.

Następnego dnia, mister Fotheringay usłyszał dwie interesujące nowiny. Ktoś zasadził wspaniałą pnącą różę koło domu starszego mister Gomshott przy Lullaborongh Road, a na rzece, aż do Kawling's Mill zarzucano sieci, aby wyłowić ciało mister Wincha.

Mister Fotheringay był tego dnia roztargniony i zamyślony. Nie dokonał też żadnego cudu, jeżeli nie liczyć zaopatrzenia Winch'a w żywność i faktu, że wypełnił skrupulatnie swoją całodzienną pracę, pomimo nawału myśli, które brzęczały mu w uszach, jak pszczoły.

Jednakże zauważono jego niezwykle roztargnienie i brak uwagi; posypały się docinki. Przez cały prawie czas mister Fotheringay myślał o Winch'u.

W niedzielę wieczorem poszedł do kościoła i zdarzyło się dziwnym trafem, że pastor mister Maydig, interesujący się do pewnego stopnia okultystycznymi sprawami, miał kazanie właśnie o „rzeczach, nie podlegających prawom”. Mister Fotheringay nie uczęszczał

regularnie do kościoła, ale jego apodyktyczny sceptycyzm zachwiał się teraz bardzo znacznie. Kazanie przelało nowe światło na jego własny, niezwykły dar, więc też postanowił poradzić się z mister Maydigem zaraz po nabożeństwie. Powziąwszy to postanowienie, zdziwił się, czemu nie pomyślał o nim wcześniej. Pastor był chuderlawym, porywczym człowiekiem, o niezwykle długich rękach i szyi. Pochlebila mu chęć rozmowy ze strony człowieka, którego obojętność religijna znana była w całym mieście. Zamieniwszy kilka słów, zaprowadził gościa do zakrystii, usadowił go wygodnie, a sam, stanąwszy przed kominkiem, na którym trzaskał wesoło ogień — cień jego nóg widniał na ścianie co najmniej, jak arka nóg olbrzyma z Khodos — zapytał mister Fotheringay'a, co go sprowadza.

Z początku gość był nieco zmieszany i nie znajdował słów dla wyłożenia celu swego przybycia.

— Niech mi pan wierzy, panie Maydig, sam jestem przerażony... — i tak dalej, w tym sensie.

Zdecydował się wreszcie i zapytał mister Maydiga, co myśli o cudach. Mister Maydig powiedział:

— Cóż?! — i z rozważą, ale mister Fotheringay przerwał:

— Przypuszczam, że pan by nigdy nie wierzył, że jakiś zwykły człowiek — powiedzmy, ja — siedzący sobie, ot, na przykład, w tym pokoju, posiada taki jakiś sposób, że może robić samą tylko wolą, co zapragnie.

— Możliwe — rzekł mister Maydig. — Coś w tym rodzaju jest możliwe,

— Jeżeli pan na to pozwoli — dodał mister Fotheringay, mógłbym tutaj zrobić mały eksperyment. Pan będzie łaskaw postawić tę skrzynkę z tytoniem na stole. Chciałbym wiedzieć, czy to, co uczynię za chwilę, jest cudem, czy nie. Chwileczka, panie Maydig.

Zmarszczył brwi, wskazał skrzynkę palcem i powiedział:

— Stań się wazonikiem fiołków!

I skrzynka tytoniu usłuchała natychmiast. Mister Maydig wzdrygnął się i patrzył na przemian to na cudotwórcę, to na kwiaty. Milczał. Wreszcie pochylił się nad stołem i powąchał fiołki: były świeżo zerwane i bardzo piękne. Pastor utkwiał wzrok w mister Fotheringay'u,

— Jak pan to zrobił? Cudotwórca szarpnął wąsa,

— Właśnie o tym mówiłem i pan był świadkiem. Czy to jest cud, czy czarna magia, czy co u licha? I co pan myśli o mnie? Właśnie o to przyszedłem zapytać,

— Jest to po prostu niesłychane!

— Tegoż dnia w zeszłym tygodniu nie miałem jeszcze pojęcia, że jestem do czegoś podobnego zdolny. Przyszło to zupełnie niespodzianie, Dzieją się dziwne rzeczy z moją wolą, jak mi się zdaje, i to jest wszystko, co mogę powiedzieć.

— Czy pan tylko to potrafi uczynić? Czy i inne rzeczy także?

— Ależ, tak — rzekł mister Fotheringay. — Właściwie — wszystko.

Zamyślił się i przypomniał sobie nagle jedną ze sztuk magicznych, które niegdyś widział,

— Choćby to! — wyciągnął palec. — Zmień się w wazon z rybami, nie, nie! lepiej w — szklane akwarium ze złotymi rybkami. Tak będzie lepiej! Widzi pan, panie Maydig?

— Zdumiewające! Niesłychane! Pan jest po prostu zadziwiający. Ale...

— Mogę to akwarium zamienić na wszystko inne. Na wszystko w świecie. Chociażby w gołębia. Stań się gołębiem!

W tej samej chwili siwy gołąb fruwał po pokoju i uciekał przed panem Maydig, ilekroć ten chciał podejść bliżej,

— Zatrzymaj się! — zawołał mister Fotheringay — i gołąb zawisł nieruchomo w

powietrzu. — Mogę go zmienić z powrotem na wazon z kwiatami — po czym, ustawivszy

gołębia na stole, dokonał tego cudu. — Zdaje mi się, że pan za chwilę zechce zapalić fajeczkę — dodał i przywrócił skrzynkę z tytoniem.

Mister Maydig przyglądał się tym operacjom z jakimś wybuchowym milczeniem. Spojrzał na mister Fotheringay'a, po czym bardzo ostrożnie sięgnął po skrzynkę, obejrzał ją i postawił znów na stole. Wyraził swoje uczucia jednym tylko słowem:

— Tak!

— No, a teraz łatwiej mi będzie objaśnić, po co tu przyszedłem — rzekł mister Fotheringay i wdał się w długie, zawikłane opowiadanie o swych dziwnych przygodach, poczynając od lampy z „Pod długiego smoka” i napomykając z lekka o Winch'u.

Konsternacja pana Maydiga wprawiła go w chwilową dumę, ale wkrótce stał się znowu zwykłym, codziennym mister Fotheringay'em. Pastor słuchał uważnie, trzymając pudełko z tytoniem w ręku, a jego zachowanie zmieniało się w miarę, jak postępowała opowieść. Kiedy gość począł opisywać zjawienie się trzeciego jajka, mister Maydig przerwał, machając ręką:

— To jest możliwe! — zawołał — Wierzę, wierzę! Zdumiewające, niewątpliwie, ale nie niemożliwe. Moc robienia cudów jest darem — szczególną właściwością, jak geniusz albo jasnowidzenie — który bywa udziałem tylko ludzi wyjątkowych i to rzadko. Ale w tym wypadku... Zachwycąłem się zawsze cudami Mahometa i cudami Yogów, i pani Bławackiej. Tak, to jest po prostu pewien dar. Bardzo ciekawe myśli wypowiedział w tym względzie wielki myśliciel — głos pana Maydiga zniżył się — Jego Łaskawość Ksiądz Argyll. Tutaj natykamy się na tajemnicze prawa, głębsze, niż zwykłe prawa natury. Tak, tak Proszę, niech pan mówi dalej, proszę. Mister Fotheringay począł opowiadać swoją przygodę z Winch'em, a mister Maydig, już bez przerażenia i lęku, począł przytupywać nogami, wykrzykując ze zdziwienia.

— To mnie właśnie najbardziej niepokoi — zaznaczył mister Fotheringay — i właśnie w

tej sprawie chciałbym zasięgnąć pańskiego zdania; policjant znajduje się niewątpliwie w San Francisco — gdziekolwiek może być to San Francisco — ale jest na pewno strasznie zakłopotany. Przecież on nigdy nie zrozumie, co się z nim stało. Założę się, że jest przerażony, zrozpaczony i chce mi odpłacić. Założę się, że robi wszystko, aby tu powrócić. Myślę o nim co parę godzin i odsyłam go wtedy z powrotem przy pomocy cudu. A tego, to już on na pewno za nic nie zrozumie i jest mu ogromnie przykro; po za tym, na pewno za każdym razem kupuje bilet i wydaje moc pieniędzy. Robię, co tylko mogę dla niego, ale jemu na pewno trudno będzie postawić się w moim położeniu. Myślę po za tym, że ubranie musi mieć zniszczone — rozumie pan: jeżeli piekło jest takie, jak się przypuszcza. Mogli go z tego powodu wsadzić do kozy w San Francisco, Zresztą już mu sprawiłem nowy garnitur. Widzi pan, jak się diabelnie uwikłałem. Mister Maydig spojrział z powagą:

— Widzę, że się pan uwikłał. Tak, to trudna sprawa. Kiedy pan z tym skończy... — Urwał z niepewnością i wahaniem,

— Zostawmy na chwilę Winch'a i zastanówmy się nad meritum sprawy. Nie sądzę, że to jest czarna magia, ani coś w tym rodzaju! Nie przypuszczam, żeby cudotwórstwo miało jakiegokolwiek cechy przestępstwa, panie Fotheringay — chyba, że pan ukrył jakieś fakty. Nie! to są cuda — prawdziwe cuda — cuda — jeżeli można tak powiedzieć — najwyższego gatunku.

Pastor zerwał się, mierząc długimi krokami chodnik, przeciągnięty wzdłuż pokoju, i gestykulując gwałtownie, a mister Fotheringay oparł ręce na stole, a zatroskaną głowę — na rękach,

— Nie wiem, co zrobić z Winch'em — powtórzył,

— Pańskie zdolności cudotwórcze — odparł mister Maydig — i to zdolności niezwykle potężne znajdą sposób na Winch'a — niema obawy. Drogi panie, jest pan niezwykłym

człowiekiem — człowiekiem o nieprzewidywanych możliwościach. Co do tego — niema

dwóch zdań, Z drugiej strony, cuda, których by pan powinien dokonać...

— Tak, już nawet myślałem o jednym czy dwóch. Tylko, że czasem niezupełnie tak wychodzi, jakby należało, Na przykład, widział pan te ryby, te pierwsze ryby? Marny wazon i marne ryby, a przecież...

— Należy trzymać się prostej drogi — rzekł pastor — prostej drogi... przede wszystkim prostej drogi.

Zamilkł i spojrzał na mister Fotheringay'a,

— Pańska moc wydaje się nieograniczoną. Sprawdzimy zaraz rozciągłość tej siły. Jeżeli rzeczywiście... Jeżeli doprawdy okaże się tym, czym wydaje się być...

Tak więc, choć może to wygląda nieprawdopodobnie, w gabinecie plebanii, należącej do kaplicy kongregacyjnej, wieczorem, w niedzielę, dnia 10 listopada 1896 roku, mister Fotheringay za natchnieniem i podniętą mister Maydiga począł robić cuda. Usilnie zwracamy uwagę czytelnika na datę. Być może, zechce on zaproponować, jeżeli już tego nie uczynił, że niektóre dane w naszym opowiadaniu są nieprawdopodobne, że gdyby coś w tym rodzaju przytrafiło się rzeczywiście, pisałyby o tem przed rokiem gazety. Szczególnie trudno mu będzie pogodzić się z faktami, które nastąpią za chwilę, gdyż pomiędzy wieloma innymi wątpliwościami, może on (czy ona) zaznaczyć, że gdyby coś podobnego zdarzyło się naprawdę, już by on (czy ona) zginął (czy zginęła) przed rokiem, w sposób gwałtowny i niezwykły. Otóż cud, o którym będzie mowa, nie jest wcale nieprawdopodobny i czytelnik (czy czytelniczka) istotnie zginęli w sposób gwałtowny i niezwykły rok temu. W dalszym ciągu opowiadania okaże się to całkowicie jasne i wiarogodne, a każdy czytelnik przy zdrowych zmysłach z łatwością zgodzi się z nami. Cucia, dokonane dotychczas przez mister Fotheringay'a, były to małe nieśmiałe cuda — takie sobie drobiazgi z wazonem czy

bibelotami, coś w rodzaju naiwnych cudów teozoficznych. A choć tak słabiuchne, przejęły lękiem mister Fotheringay'a. Chciał on przede wszystkim skończyć ze sprawą Winch'a, ale pastor nie dopuścił do tego. Kiedy już przerobili z tuzin domowych trywialności, upoi ich poczucie mocy, wyobraźnie poczęły prześcigać się wzajemnie, ambicje zaś wzrosły. Pierwsze większe przedsięwzięcie wywołała mistress Minchin, gospodyni pastora, przez właściwą sobie opieszałość i niedbalstwo. Posiłek, którym mister Maydig poczęstował gościa, był mocno nieapetyczny, a co się tyczy napojów — zupełnie niewystarczający dla dwóch pracowitych cudotwórców. Kiedy siedli, pastor wpadł nawet nie w gniew, ale w smutek, rozwodząc się nad oszczędnościami gospodyni, mister Fotheringay poczuł, że nadarza się okazja.

— Niech pan tylko nie pomyśli, panie Maydig — powiedział nieśmiało — że to z mojej strony poufałość, ale...

— Mój drogi panie Fotheringay. Ależ skąd! Nic podobnego nie przyszło mi na myśl...

Mister Fotheringay wznosił rękę.

— Co sobie zamówimy? — zapytał z gestem, szerokim i władczym. Postępując w myśl wskazań pastora, zastanowił się gruntownie nad kolacją.

— Jeżeli o mnie chodzi — dodał, przyglądając się wyborowi Maydiga — jestem za kuflem porteru i pieczenia z serem (Welsh rarebit). Zaraz je sobie zamówię. Nie przepadam za burgundem.

Nowi przyjaciele siedzieli długo za stołem, gadając ze sobą, jak równy z równym, o cudach, które należałoby uczynić. Mister Fotheringay był oczarowany i pełen wdzięczności dla pastora.

— A po za tym, panie Maydig, mógłbym może panu być pomocnym w pewnych sprawach domowych.

— Proszę, niech pan o tym nie mówi! — zawołał mister Maydig, wznosząc do góry szklanę cudownie starego burgunda.

Mister Fotheringay nałożył sobie drugą porcję pieczeni i z pełnymi ustami powiedział:

— Miałem na myśli, hm, hm, że może bym mógł, hm, hm, uczynić cud z panią Minchin, żeby... te.. — stała się dobrą kobietą.

Pastor postawił szklanę i spojrzał z powątpiewaniem:

— Ona... Widzi pan, ona nikomu do niczego nie pozwala się wtrącać. A co się tyczy pańskiej propozycji... Jest po jedenastej, moja gospodyni pewno leży już w łóżku i śpi. Myśli pan, że”.

Mister Fotheringay zastanowił się:

— Przypuszczam, że można to zrobić podczas snu.

Pastor oponował przez pewien czas, ale w końcu ustąpił. Mister Fotheringay wydał odpowiedni rozkaz, po czym obaj panowie, w stanie z lekka podnieconym, zabrali się znowu do kolacji. Mister Maydig począł rozwodzić się szeroko nad zmianami, których jutro zażąda od gospodyni; przemawiał przy tym z optymizmem, który nawet jego gościowi wydał się nieco pośpieszny i zbyt gorączkowy. Nagle, o piętro wyżej rozległ się stłumiony hałas. Dwaj panowie spojrzeli na się pytająco, po czym pastor wyszedł gniewnie z pokoju. W chwilę później rozległ się jego głos i mister Fotheringay usłyszał kroki, dążące w górę po schodach. Wrócił po chwili z rozpromienioną twarzą.

— Niesłychane! — wołał — i wzruszające! Ogromnie wzruszające!

Chodził gorączkowo po pokoju.

— Skrucha! Wzruszająca skrucha — wołał przez uchylone drzwi, — Biedna kobieta!

Zdumiewająca przemiana! Wstała z łóżka. Zresztą, musiała wstać. Wstała z łóżka, aby stłuc butelkę wódki, którą przechowywała w kufierku. Wyznała wszystko! Ależ taki fakt otwiera

przed nami jak najdalsze perspektywy. Jeżeli mogliśmy w niej dokonać takiej przemiany...

— Tak, siła wydaje się nieograniczona — potwierdził mister Fotheringay. — A co się tyczy Wincha...

— Bezgraniczna! Nieograniczona! — I pastor, stojąc na chodniku i uchylając znów sprawę Winch'a, wyłożył cały szereg niezwykłych projektów — projektów, które wymyślił, chodząc po pokoju.

Wszystkie te zamierzenia nie dotyczą naszego opowiadania. Wystarczy, że zostały one powzięte w duchu jak najbardziej humanitarnym, w duchu nieskończonej pobłażliwości, zasługującej na miano poobiedniej. Wystarczy też, że kwestia Winch'a pozostała nierozwiązana. Zbyteczne byłoby opowiadać, jak daleko posunęło się wykonanie owych projektów, Dość, że zaszły niesłychane wydarzenia. Po małej godzinie panowie Maydig i Fotheringay szli przez bezludny plac targowy, w blasku księżyca, bujając na szczytach cudotwórczej ekstazy t mister Maydig — gestykulujący, — o rozwianych połach; mister Fotheringay — krótki, najeżony i nie przerażony już więcej własną wielkością. Głosując we dwóch, zaprowadzili wielką reformę, uszlachetniającą pijaków, zamienili cały alkohol na wodę — w tej sprawie pastor przegłosował mister Fotheringay'a; dalej, udoskonaili ogromnie komunikację kolejową, przedrenowali flinderskie mokradła; ulepszyli glebę w One Tree Hill i wyleczyli wikarego z brodawki. Potem pobiegli zobaczyć, co by dało się zrobić z tym przeklętym filarem South'ońskie — go mostu.

— Jutro żadne z tych miejsc nie będzie dawnym miejscem — westchnął mister Maydig. — Jakże wszyscy będą zdumieni i wdzięczni!

W tej samej chwili zegar kościelny wybił trzecią.

— Zdaje się — powiedział mister Fotheringay — że to trzecia godzina. Muszę wracać do domu. Idę przecież do biura o ósmej. A przy tym mister Wimms...

— Przecież dopiero zaczęliśmy! — zawołał pastor, pełen słodkiego poczucia

nieograniczonej władzy. — Ledwo żeśmy zaczęli! Pomyśl pan, ile dobrego możemy zdziałać.

Kiedy ludzie obudzą się...

— Tylko, że... — obstawał przy swoim mister Fotheringay.

Pastor uchwycił go nagle za ramię. Oczy zaiskrzyły mu się dziko,

— Drogi chłopcze! — zawołał — niema pośpiechu — patrz... — i wskazał palcem

księżyc — Jozne!

— Jozne? — zapytał mister Fotheringay,

— Jozne! — rzekł triumfalnie pastor. — Czemu nie? Zatrzymaj księżyc!

Mister Fotheringay spojrział w górę.

— To jest nie byle co — zauważył po chwili.

— Ale czemużby nie? — nalegał mister Maydig. — On się przecież nie zatrzyma.

Zahamuje pan tylko ruch obrotowy ziemi, rozumie pan? Czas stanie. Nic w tem nie będzie złego.

— Hm! Dobrze — rzekł mister Fotheringay. — Spróbuję. Więc...

Zapiął marynarkę i zwrócił się do globu ziemskiego z pełnym zaufaniem we własną siłę:

— A teraz dość tego kręcenia się, dobrze?! W tej samej chwili poleciał głową naprzód przez powietrze, z szybkością dwunastu mil na minutę. Zataczając niezliczoną ilość kół na sekundę, mister Fotheringay myślał. Gdyż myśl jest cudownym zjawiskiem — czasem ciągnie się, jak smoła, czasem jest błyskawiczna, jak światło. Myślał sekundę:

...Chcę spać żywy i zdrowy. Cokolwiek się stanie, chcę spać żywy i zdrowy.

Był już najwyższy czas, aby właśnie tego zażądać, gdyż ubranie cudotwórcy, rozgrzane szalonym tarciem powietrza, poczęło się palić. Spadł na ziemię z wielkim rozpędem, nie uczyniwszy sobie nic złego, na świeżo usypany wał ziemny. Wielka masa muru i metalu,

przypominająca wieżę kościelną, spadła na ziemię obok niego i odskoczyła, rozprysnąwszy się na cegły, kamienie i odłamki wapna, jak wybuchająca bomba,

Strasliwe uderzenie rozgniotło wielki blok kamienny, jak jajko. Rozległ się trzask i gruchot, wobec którego wszelki hałas, jaki mister Fotheringay słyszał kiedykolwiek w życiu, był szelestem opadającego piórka, a po nim nastąpiła cała seria dalszych trzasków i gruchotów. Straszliwy wiatr leciał przez ziemię i niebo tak, że z wielkim trudem cudotwórcy udało się unieść głowę. Przez chwilę stracił dech i był tak zdumiony, że nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie jest i co się stało. Dotknął ręką głowy, chcąc się przekonać, czy ma wszystkie włosy — to był pierwszy jego odruch.

— Boże! — wymówił z trudem, gdyż wiatr wtykał mu z powrotem słowa do gardła. — To ci dopiero harmider! Coś się popsuło? Burza i pioruny. A przed chwilą śliczna noc! To Maydig namówił mnie na takie głupstwo. Co za wiatr! Jeżeli tak dalej potrwa, na pewno mnie piorun trzaśnie!... Gdzie jest Maydig?

Rozejrzał się dookoła, na ile tylko pozwoliły mu powiewające poły żakietu. Świat wyglądał niezwykle,

— Niebo, zdaje się, jest w porządku — stwierdził mister Fotheringay. — I wszystko .byłoby w porządku, gdyby nie ten wściekły wiatr. Księżyc przecież świeci nad głową. Tak, jak przed chwilą. Jasno, jak w południe. Ale jeżeli chodzi o resztę... Gdzie jest miasto? Gdzie jest — gdzie jest wszystko? I skąd się bierze ten diabelski wiatr? Wcale przecież nie kazałem, żeby był wiatr.

Mister Fotheringay stoczył bezpłodną walkę z wichurą, chcąc stanąć prosto, i wywróciwszy się, pozostał na czworakach. Przyglądał się księżycowi pod wiatr, a poły żakietu powiewały mu nad głową.

...Coś się popsuło — myślał. — Ale co? Bóg raczy wiedzieć.

Daleko i szeroko nic nie było widać w oślepiającym zamęcie. Wicher z rykiem unosił mgłę pyłu, wirujące zwały ziemi, stosy podruzgotanych ruin. Nigdzie drzewa, nigdzie domu, nigdzie znajomego kształtu; wszędzie dziki zamęt, ginący w ciemnościach, wirujące trąby powietrzne i potoki, błyskawice i pioruny, jak podczas rozszalałej burzy. Koło mistra Fotheringay'a w bladej poświacie leżało coś, co może niegdyś było wiązem: skłębiona masa drzazg i drzewa, drżąca od szczytu do korzeni, a dalej — spiętrzony stos żelaznych sztachet. Rozumiecie, kiedy mister Fotheringay zatrzymał krążenie ziemi dookoła słońca, nie zrobił on żadnych zastrzeżeń, dotyczących ruchu przedmiotów na jej powierzchni, A ziemia kręci się tak prędko, że punkt na równiku przebywa około tysiąca mil na godzinę, a w naszej szerokości geograficznej — o pół razy więcej. Wskutek tego miasteczko i mister Fotheringay, i mister Maydig, i wszyscy i wszystko zostało wyrzucone przed siebie z szybkością dziewięciu mil na sekundę — czyli o wiele prędeziej, niż gdyby ich wystrzelono z armaty. I każda istota ludzka, każde stworzenie, dom i drzewo — cały znajomy nam świat — leciał przed siebie, rozbijał się i roztrzaskiwał. To wszystko.

Mister Fotheringay nie zdawał sobie rzeczywiście sprawy z istotnego stanu rzeczy.

Rozumiał tylko, że ten cud nie udał się i to go napełniło niechęcią do cudów w ogóle.

Znajdował się w ciemnościach, gdyż nadbiegły chmury i zakryły od razu księżyc, a powietrze było pełne wirujących szczątków różnych przedmiotów. Wielki szum wichru i wody napełnił powietrze. Nieszczęsny cudotwórca, osłaniając się dłonią od pyłu, śniegu i deszczu, ujrzał w świetle błyskawicy ogromny wał wodny, zbliżający się ku niemu.

— Maydig! — jęknął mister Fotheringay, wśród rozszalałych żywiołów — Maydig! —

Stań! — zawołał do zbliżającej się wody. — Na miłość boską, zatrzymaj się! — Chwileczkę — powiedział mister Fotheringay do błyskawic i grzmotów. — Zatrzymajcie się na chwilę, póki nie zbiorę myśli... Co tu robić? Co robić?... Boże! Chciałbym, żeby Maydig był ze mną,

— Wiem! — zawołał nagle, — I na miłość boską, niech mi przyjdzie coś na myśl natychmiast.

Stał wciąż na czworakach, walcząc z wiatrem i skrupulatnie szukając jakiejś rady.

— Ach! — zawołał, — Niech nic się nie dzieje, póki nie przyjdzie mi coś do głowy i póki nie powiem: — „Już!” — Boże! czemu nie pomyślałem o tym wcześniej!

Natęzał swój mały głosik pośród zawiei, krzycząc głośniej i głośniej, usiłując na próżno usłyszeć siebie samego.

— A teraz, uważaj! słuchaj, co teraz powiem! Przede wszystkim, kiedy powiem wszystko, co mam do powiedzenia, zabierz mi tę czarodziejską siłę, daj mi chcieć akurat tyle, ile chcą inni ludzie, i niech ustaną te wszystkie niebezpieczne cuda. Nie podobają mi się. Lepiej niech ich nie robię. To, po pierwsze, A po drugie — chcę się znaleźć przed czasem, nim się te cuda zaczęły; niech wszystko będzie tak, jak było, nim ta przeklęta lampa przewróciła się do góry nogami. To będzie wielka robota, ale już ostatnia. Zrobione? I więcej bez cudów! Wszystko tak, jak było! A ja niech się znajdę „Pod długim smokiem”, nim zem jeszcze wypił swój półkwaterek. Tak! To wszystko!

Tknął palcem w ziemię, zamknął oczy i powiedział:

— Już!

Zrobiła się wielka cisza... Poczul, że stoi wyprostowany...

— Tak pan sądzi? — powiedział jakiś głos. Otworzył oczy. Był w barze „Pod długim smokiem”, dyskutując o cudach z Toddym Beamish. Miał uczucie, że zapomniał czegoś wielkiego, co zresztą od razu przeminęło. Rozumiecie, że skoro mister Fotneringay stracił swoje właściwości cudotwórcze, a wszystko wróciło do dawnego stanu, to i pamięć jego cofnęła się aż do chwili, gdyśmy rozpoczęli to opowiadanie. Tak, że mister Fotheringay nie mógł pamiętać niczego, o czym się tutaj mówiło, I w dalszym ciągu, niewątpliwie, nie będzie

on wierzył w cuda.

— Powiadam wam, że cudów, we właściwym tego słowa znaczeniu, niema i być nie może

— dowodził, — Mogę wam tego dowieść.

— Tak pan sądzi? — powiedział Toddy Beamish, — Niech pan udowodni, jeżeli pan potrafi,

— Niech pan spojrzy, panie Beamish — rzekł mister Fotheringay, — Zastanówmy się, co to jest cud? Jest to coś sprzecznego z prawami natury...